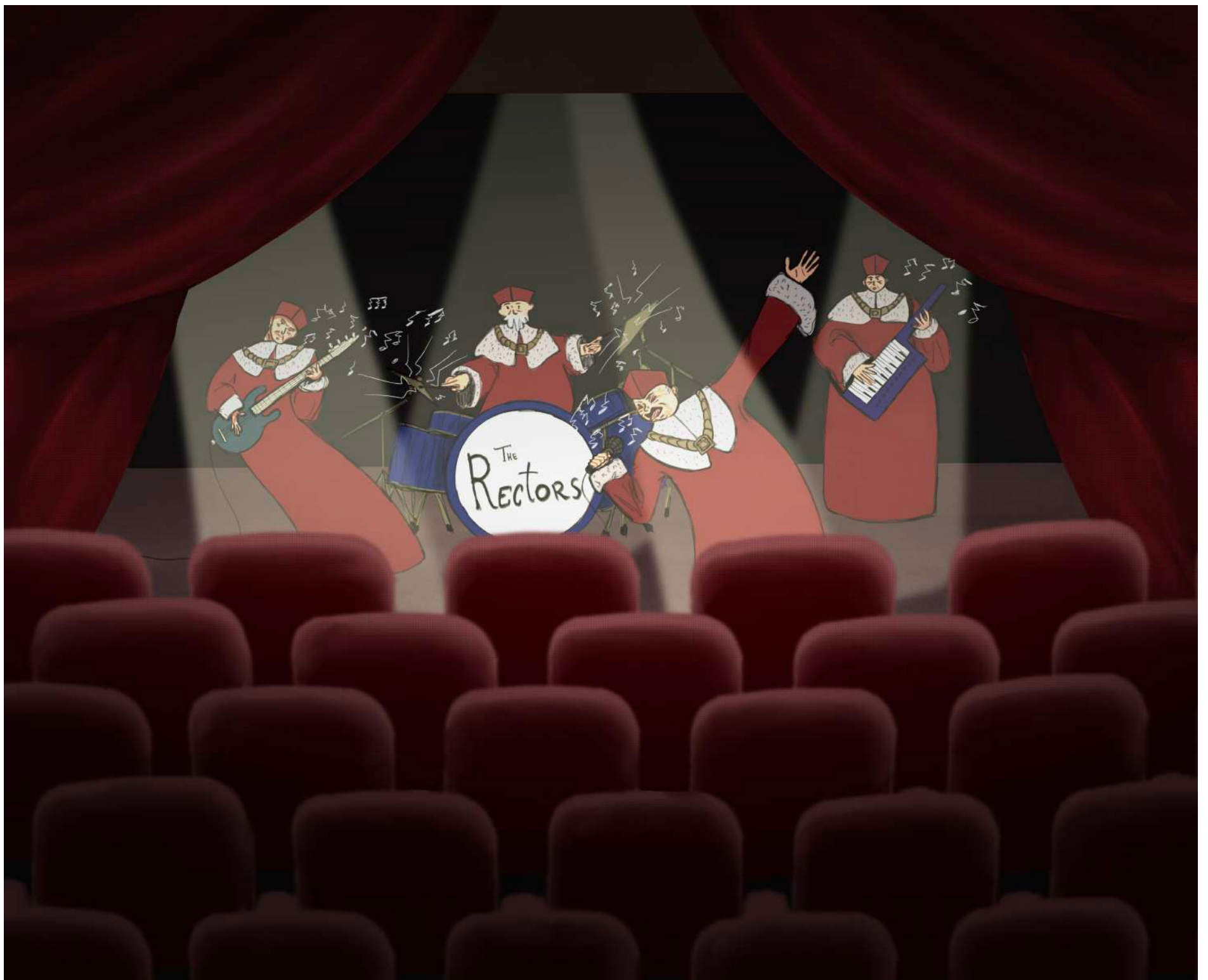


ALARM STUDENCKI

ZWIĄZKOWA PRASA STUDENCKA #3/2026

KULTURALNA PRYWATYZACJA



CZYJE JUWENALIA? | KLUBY STUDENCKIE | DOOMSCROLLING
PRODUKCJA KULTURY | GRAFIK NA ŚMIECIÓWCE

Od redakcji

To już 3 lata Alarmu Studenckiego!

Trzymacie właśnie w rękach dziesiąty numer gazety, przy której początkach nikt nie przewidywał tak prężnego i stabilnego rozwoju. Ten numer jest wyjątkowo długi. Więcej słów nie zawsze oznacza więcej treści, ale w tym przypadku z zadowoleniem możemy powiedzieć, że tak jest. Na jego stronach dowodzimy, że **kultura jest polityką i może swobodnie rozwijać się tylko wtedy, gdy uwzględnia bieżące klasowe uwarunkowania**. Pojęcie kultury traktujemy szeroko i nie nakładamy na nie rygorystycznych ograniczeń – piszemy również o sporcie, internecie i roli dyskusji.

Rozwijamy też kontekst historii, której zbyt często nie znamy, przez co wpadamy w pułapkę schematów i dróg bez wyjścia. Od historii Bratniej Pomocy

w pierwszej połowie XX wieku, przez Zrzeszenie Studentów Polskich i wkład kobiet w produkcję, po początki juvenaliowych imprez – o tym wszystkim przeczytacie na stronach jubileuszowego numeru.

W *Co w prawie piszczy?* rozwiewamy tajemnice grafiku pracy na śmieciówce. **Kto i jak** decyduje, kiedy pracujemy? **Jak** postępować w przypadku choroby? **Co robić**, gdy szef przestaje dawać Wam godziny? Odpowiedzi na te i inne dylematy znajdziecie w ostatnim tekście tego numeru.

Infrastruktura pełni kluczową rolę dla środowisk politycznych. Czas otworzyć kolejny front walki – tym razem o kluby, które powinny być w naszych rękach. Samoorganizacja rozwija skrzydła, gdy ma skąd wziąć rozbieg – i nie robi tego w Costa Coffee.

Inspirującej lektury,
Redakcja



Co słyhać w ruchu studenckim? | 3

Kultura studencka dla kogo? Komentarz do raportu Forum Kultury Studenckiej | 6

Stanisław Sieniawski, Gabriela Wilczyńska

Studenckie dobra wspólne. Socjalistyczne kluby studenckie jako przeszłość uniwersyteckiej wspólnoty | 8

Olga Łojewska

Kultura dyskusji bez dyskusji.

Jak zaczęliśmy się bać mówić? | 9

Gabriela Wilczyńska

Co się stało ze „studenckością” Juwenaliów? | 12

Maria Siemek

Sztuka robienia fikołków, czyli jak wynająć salę na uczelni | 15

Norbert Nieścior, Jakub Mleczko

DIY OR DIE? Kilka luźnych refleksji wokół kultury oddolnej | 17

Jędrzej Szczepański

Bratnia Pomoc – 95 lat i koniec? | 18

Adam Ochwat

Co na to kapitał? | 22

Kultura studencka jako praca produkcji: kobiety, warunki, wytwarzanie | 23

Gabriela Wilczyńska

O dzieciach alimenciarzy i walce o przetrwanie na uczelni | 25

Zofia Mańkowska

Lata 80. w kulturze studenckiej

– socjalizm w rytmie rynku | 26

Adam Ochwat

Nowy wspaniały świat Fuenteses | 30

Tomasz Kowalczyk

Jak nie promować kultury fizycznej: sport na uczelniach | 31

Filip Bijak, Stanisław Sieniawski

Monokultura internetu, czyli dlaczego nie możemy mieć dobrych rzeczy | 33

Mikołaj Jędrzejewski

Większość osób nie wie, co robi samorząd.

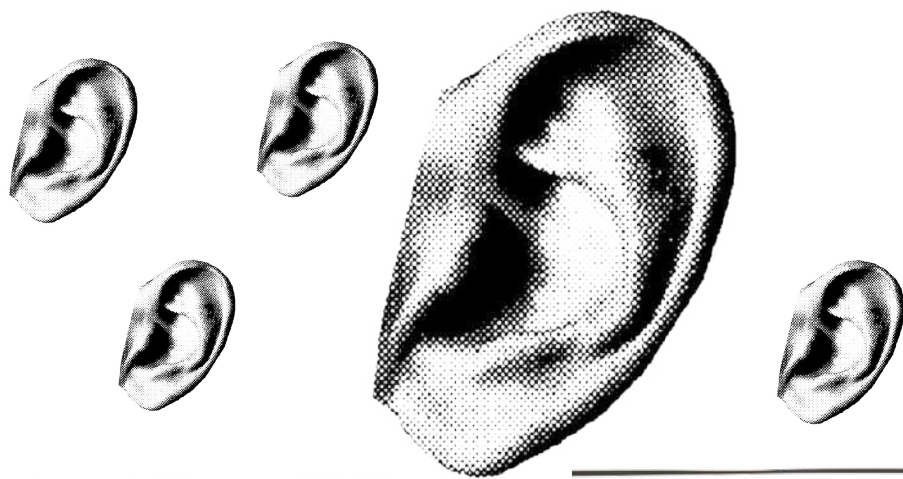
Rozmowa ze studentem Uniwersytetu

Warszawskiego | 35

Elastyczność stosowana. Jak działa czas pracy i nieobecności na śmieciówce | 38

Dominik Chrabski

Co słychać w ruchu studenckim?



BUWBAR zamknięty – walka o stołówki trwa

30 dni – tyle przetrwał premium food hall w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie.

Restauratorka Lin-Iwanejko zakończyła działalność, a obwinia o to nikogo innego jak protestujących studentów i studentki. Cóż, winę z przyjemnością przyjmujemy, ale musimy sprostować: nie mamy nic wspólnego z tajemniczą awarią kanalizacji, która **dziwnym trafem** wydarzyła się zaraz po rozliczeniu miesiąca. Władze UW przez kilka dni zasłaniały się ponownymi „negocjacjami” ze spółką Victoria SPV2. Dziś wiele wskazuje na to, że uniwersytet czeka brzydki pozew.

To kolejny dowód, że outsourcing usług gastronomicznych na uczelniach nie działa – w tym samym roku identyczny los spotkał bistro „Nowa Hoża” na Wydziale Fizyki UW, które zamknęło się po sześciu miesiącach. Z inicjatywy pracowników



Wydziału Polonistyki **ponad 300 osób** pracujących na UW – w tym wieloletnie pracownice biblioteki – zaapelowało do rektora o otwarcie publicznej stołówki w BUW-ie i potępiło rektorskie oczernianie protestujących.

Jedna stołówka na ponad 42 tysiące osób to zdecydowanie za mało. Jeśli chcesz się zaangażować w kampanię stołówkową na UW, **dołącz do nas!**

Jeśli nadal nie widzieliście umowy dzierżawy, która wstrząsnęła nie tylko Uniwersytetem Warszawskim, wejdźcie na mlodzi.ozzip.pl/buwbar.



Kraków: prywatne bistro to nie stołówka

Uniwersytet Jagielloński – druga co do wielkości uczelnia w Polsce, z budżetem rzędu 2 miliardów złotych – **nie posiada**

ani jednej publicznej stołówki. Na Kampusie Ruczaj działa 13 prywatnych punktów gastronomicznych, a zamiast stołówek pojawiły się *lunchomaty* z posiłkami za ponad 20 złotych. W maju spotkaliśmy się z rektorem Jedynakiem – przyznał, że **otwarcie dwóch stołówek do 2030 roku jest możliwe.** Uczelnia proponuje tymczasem system dopłat do prywatnych restauracji. Ale dopłacanie do prywatnego biznesu nie może być fundamentem polityki socjalnej uniwersytetu. Outsourcing już wielokrotnie zawodził – prywatne lokale wycofują się, gdy przestają zarabiać. **Pierwsza publiczna stołówka ma powstać w 2027 roku – jeśli chcesz dopilnować rektora, dołącz do nas.**

Gdańsk i Łódź: żądamy stołówek

Kampania na rzecz publicznych stołówek rozszerza się. Wystosowaliśmy apel do władz Uniwersytetu Gdańskiego – uczelnia nie posiada ani jednej stołówki, a studenci i studentki spędzają na niej po kilkanaście godzin dziennie. **Domagamy się otwarcia publicznej stołówki zarządzanej przez uczelnię, stałego budżetu na jej funkcjonowanie oraz mechanizmów wsparcia dla osób w trudnej sytuacji materialnej.**

Podobny apel złożyliśmy do władz Politechniki Łódzkiej, gdzie prywatne lokale gastronomiczne pobierają różne ceny w zależności od wydziału, a **dostęp do mikrofali bywa uzależniony od przynależności do wydziałowej rady samorządowej.** Politechnika Łódzka również nie prowadzi ani jednej publicznej stołówki.



Ministerstwo nie zamierza działać, bo rektorów wystarczy poprosić

Na początku czerwca odbyło się długo wyczekiwane spotkanie z wiceministrą nauki Karoliną Ziolo-Pużuk. Dowiedzieliśmy się, że wprowadzenie uniwersalnego finansowania uczelnianych stołówek „jest sprzeczne z prawem unijnym”, a dodatkowo blokuje ją ustawa Gowina. **To ciekawe, bo stołówki z systemowego finansowania wycięła nowelizacja ustawy z 2005 roku – z czasów, kiedy partia wiceministry była u władzy...** Stołówki to – w alternatywnym świecie Ziolo-Pużuk – sprawa uczelni, z rektorami „wystarczy porozmawiać”, najlepiej dopłacać do prywatnych biznesów. a kultura studencka to kompetencje Ministerstwa Kultury.

3% na naukę, w tym na stołówki, akademiki i stypendia

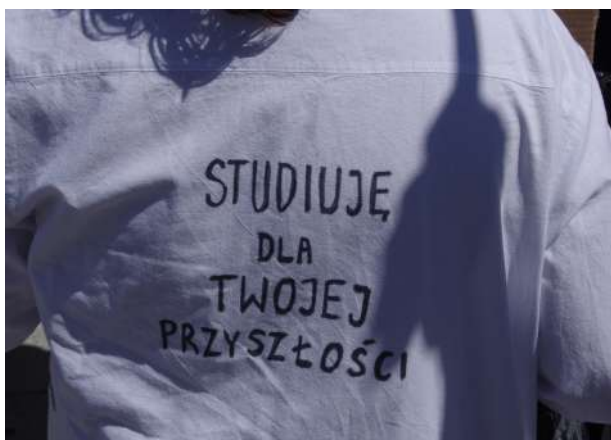
27 maja protestowałyśmy pod Sejmem w ramach akcji 3% na naukę, w której uwzględniliśmy nasze postulaty: publiczne stołówki i akademiki oraz gruntowna reforma stypendiów socjalnych. Apel zebrał ponad **25 000 podpisów w mniej niż miesiąc**. A nasz transparent o Ministerstwie Nieróbstwa i Słabych Wymówek zrobił furorę.



Indeks: historia się nie kończy, rodzi się Odzysk

Walka o klub na UW nabiera rozpędu. Mimo prawdopodobnego końca rozdziału prywatyzacji lokalu w piwnicy Zarząd Samorządu Studentów chce przeznaczyć przestrzeń na *coworking* zarządzany przez, rzecz jasna, samorząd. **To absurd**. Klub studencki powinien działać na zasadach otwartych zebrań, bez instytucjonalnych barier i formalnego członkostwa – nie jako kolejny sterylny *space* pod kontrolą organu będącego reliktem transformacji.

W zorganizowanym przez nas plebiscycie na nazwę klubu zwycięstwo odniósł **Odzysk**. Co dalej? Czas na nowe logo dla pierwszego klubu na uczelni od lat! Włącz się w tworzenie Odzysku niezależnie od członkostwa w związku samorządzie, kole naukowym i innych grupach. **Jest wiele do zrobienia.**



Skontaktuj się z nami:
kmip.warszawa@gmail.com.

Wejdź na mlodzi.ozzip.pl/indeks!



Kamionka idzie do sądu – i wygrywa

Minęły dwa lata od strajku okupacyjnego w DS Kamionka na Uniwersytecie Jagiellońskim. Porozumienie ze strajku zobowiązało rektora Jedynaka do zlecenia niezależnej wyceny remontu – ale zamiast ujawnić jej wyniki, uczelnia powołała się na „tajemnicę przedsiębiorstwa”. **Sprawa trafiła do sądu administracyjnego, który przyznał nam rację.** Stwierdził **rażące naruszenie prawa przez rektora UJ** i zobowiązał uczelnię do udostępnienia dokumentów. **Kampania trwa.**





gdzie niegdyś działał klub studencki Sigma, o którego odzyskanie walczymy.



Manufaktura wyzysku? Toruńska walka o wynagrodzenia

Od połowy maja prowadzimy kampanię w obronie **siedmiu pracowników** sieci sklepów Manufaktura Herbaty i Manufaktura Porcelany w Toruniu i Opolu. Właściciele – małżeństwo operujące czterema spółkami z o.o. – nie wypłacili im łącznie blisko **20 tysięcy złotych**. Właściciele wypracowali metodę unikania odpowiedzialności: lawirują między spółkami, nie odbierają korespondencji z urzędów. Sanepid nakazał zaprzestania działalności w toruńskim lokalu, ale spółka zignorowała nakaz. **Państwowa Inspekcja Pracy skierowała do prokuratury zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa.**



18 maja dostarczyliśmy szefostwu przedsądowe wezwanie do zapłaty. W odpowiedzi przyszło kontrwezwanie z żądaniem zwrotu rzekomo „nadpłaconych wynagrodzeń” – w tym twierdzeniem, że jedna z pracowników przepracowała... 34 godziny w ciągu jednej doby. 30 maja zorganizowaliśmy pikietę pod sklepem przy ul. Szerokiej. **Od czasu rozpoczęcia kampanii trzy pracownicy odzyskały część należnych pieniędzy – to ułamek całości.** Walczymy dalej.

Jeśli pracowałeś w sklepach Manufaktury i doświadczyłeś podobnych praktyk, **napisz na kmip.torun@gmail.com.**

Raport z tej walki znajdziesz pod adresem mlodzi.ozzip.pl/manufaktura.

AntyJuwenalia: odbieramy naszą przestrzeń

Juwenalia dawno przestały być świętem studiujących. Gdańskie są bliższe Sylwestrowi z Polsatu niż studenckiej kulturze, a bilety na imprezy pod logotypami koncernów piwnych nie mieszczą się w budżecie wielu z nas. **W kontrze zorganizowaliśmy pierwsze AntyJuwenalia – w Sopocie i Warszawie, za darmo, bez sponsorów, z niszowymi zespołami.**

Miejsce warszawskiej edycji **nie było** przypadkowe: piwnica Domu



TO W KOŃCU NASZ KLUB.



Chcecie tworzyć z nami to, o czym właśnie przeczytałyście?

Wstąpcie w nasze szeregi!

Od niedawna na naszej stronie znajdziecie prosty formularz, po którego wypełnieniu kontaktuje się z Wami lokalna komisja Inicjatywy Pracowniczej:

mlodzi.ozzip.pl/dolacz

Kultura studencka dla kogo?

Komentarz do raportu Forum Kultury Studenckiej

Stanisław Sieniawski, Gabriela Wilczyńska

W lutym br. Forum Kultury Studenckiej wydało „Raport o stanie organizacyjnym i kierunkach oddziaływania kultury studenckiej w Polsce”. Publikacja powstała na podstawie forum, które odbyło się w listopadzie 2025 roku. Zawiera analizę obecnego stanu kultury studenckiej, jej problemów i potencjału. Są w niej także rekomendacje dla władz państwowych i uczelnianych wystosowane przez przedstawicieli Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, Parlamentu Studentów RP, Krajowej Reprezentacji Doktorantów i uczelnianych instytucji kultury studenckiej. W marcu raport trafił pod obrady sejmowej podkomisji stałej ds. nauki i szkolnictwa wyższego. Kultura studencka zaistniała w debacie publicznej.

Autorzy wskazują, że aż 87% studiujących deklaruje zainteresowanie uczestnictwem w kulturze. 57% z nas jest aktywnych twórczo, z czego 22% w stopniu wysokim.

Raport uznaje istnienie problemu, choć tę diagnozę znacząco łagodzi. Wskazuje m.in. na brak stabilnych ram instytucjonalnych, nierówności infrastrukturalne między uczelniami i uzależnienie finansowania od projektów. Postuluje systemowe podejście: umocowanie kultury studenckiej w politykach publicznych, wieloletnie mechanizmy finansowania, **zapewnienie infrastruktury i możliwość dzielenia jej między uczelniami, miastami i instytucjami.**

Dostrzegamy jednak w tej publikacji znaczącą dziurę.

TRANSFORMACJA BEZ TRANSFORMACJI

Raport opisuje obecną sytuację jako efekt procesów, które zaszły po 1989 roku: rozpad struktur kultury studenckiej PRL, przejęcie lub likwidacja akademickich domów kultury, stopniowe odcinanie finansowania. **Ton tej diagnozy jest jednak dość beznamienny – jakby chodziło o nieuniknione i naturalny rozpad.** Nie wskazuje na istotny kontekst, czyli na świadomą decyzję o prowadzeniu polityki w sposób,

który przekształcił uczelnie w instytucje nastawione na produkcję zasobów ludzkich dla rynku pracy.

Transformacja ustrojowa sprywatyzowała infrastrukturę, urynkowiła usługi, przekształciła wspólne przestrzenie w miejsca do zarabiania pieniędzy. To, co dziś wielu kojarzy się studentom z kulturą studencką – Hybrydy, Proxima, Stodoła – to komercyjne lokale, w których bilety na koncerty pozostają poza zasięgiem wielu z nas. W raporcie Forum nie znajdziemy pytań:

dlaczego

w tak wielu miastach wydarzenia studenckie muszą odbywać się w komercyjnych przestrzeniach?

Kto

do tego dopuścił?

Kto

na tym zarabia?



Musimy uznać prosty fakt: **kultura w PRL-u nie istniała wyłącznie w ramach instytucji studenckich.** Uczelnie dysponowały infrastrukturą – **klubami, domami kultury, salami prób** – która po 1989 roku przestała się „opłacać”. **Historia Indeksu na Uniwersytecie Warszawskim jest podręcznikowym przykładem** – klub zabrany społeczności studenckiej, oddany restauratorowi, który przez lata nie realizował żadnych zobowiązań kulturalnych, a samorząd studencki przez cały ten czas biernie pobierał czynsz i udawał, że nic się nie dzieje.

REMEDIUUM NA DROP-OUT

Raport przedstawia kulturę studencką jako remedium na drop-out. Tym lekiem nie będzie w stanie zostać bierne uczestnictwo i korzystanie z tego, co się nam sprzeda. Traktowanie jej jako jednego z instrumentów uatrakcyjnienia uczelni i jej internacjonalizacji prowadzi do myślenia o kulturze jako o jednej z wielu usług.

Oddolna kultura nie jest dodatkiem do kształcenia, który poprawia „obiektywne” wskaźniki i przyprawia rektora o uśmiech. **Potrzebujemy przestrzeni,**

w której będziemy rozwijać się jako podmioty, nie zasoby. W przeciwnym razie dostaniemy zaproszenie na Juwenalia 2.0 w ramach zachęty do kontynuowania nauki.

USTAWOWA REPREZENTACJA ATAKUJE

Rekomendacje Parlamentu Studentów RP dotyczące zarządzania kulturą studencką postulują – oczywiście – zwiększenie roli samorządów jako organizatorów i partnerów instytucjonalnych dla władz państwowych i uczelnianych. Trudno się dziwić, że samorządom zależy na stałym poszerzaniu swoich kompetencji i zasobów. **Ale traktowanie samorządów jako naturalnych reprezentantów studiujących jest poważnym zagrożeniem.**

Na wielu uczelniach samorządy znane są głównie z organizacji juwenaliów – jedyne go masowego „studenckiego” wydarzenia w roku.

Na uczelniach w całym kraju samorządowi działacze ignorują działania podejrzanych fundacji, które zawłaszczyły sobie nasze kluby.

Nie słychać również z wśluchiwania się w studenckie potrzeby czy z zainteresowania sprawami socjalnymi. Zawsze za to można liczyć na to, że potępią studenckie protesty i wezwą do porządku – bo kto to widział, spontaniczność i inicjatywność? Tak bez wyborów w USOS-ie?



Kulturą studencką powinny zarządzać osoby faktycznie zaangażowane w jej produkcję – nie dlatego, że piastują stanowisko w samorządzie. Wszelkie rozmowy z decydentami powinny włączać jak najwięcej studentek i studentów w celu wytworzenia

**kolektywnego
poczucia
odpowiedzialności
za siebie nawzajem.**



Raport Forum Kultury Studenckiej postuluje o słuszne minimum: finansowanie i infrastrukturę. Równocześnie potyka się w miejscu, w którym trzeba zastanowić się nad rzeczywistym włączeniem samych zainteresowanych i wyniesieniem ich z poziomu klientów. **Nie oddajmy na starcie naszej kultury w ręce tych samych instytucji, które przez ostatnie dekady albo ją ignorowały, albo na niej zarabiały.**

Studenckie dobra wspólne.

Socjalistyczne kluby studenckie jako przeszłość uniwersyteckiej wspólnoty.

Olga Łojewska

Już na początku lat dziewięćdziesiątych prasa donosiła o śmierci kultury studenckiej PRL-u: „Kultura studencka to już zabytek. Można go tylko z sentymentem odkurzać”¹. Tego rodzaju sentymentalne powroty praktykowane są do dziś.

W kwietniu 2026 roku odbyło się jubileuszowe spotkanie Zrzeszenia Studentów Polskich (ZSP) w warszawskim klubie „Hybrydy”, świętujące osiągnięcia historycznego ruchu studenckiego i organizowanej przez niego kultury. Centralnym punktem uroczystości było wręczenie nagrody byłym studentom (obecnie seniorom) za aktywność w ramach Akademickiego Klubu Seniora w Poznaniu. Wymowna jest też sama lokalizacja tego spotkania. Prowadzony niegdyś przez ZSP Centralny Klub Studentów Uniwersytetu Warszawskiego „Hybrydy” powstał w 1957 roku, a jego celem było

„zaspokojenie potrzeb i aspiracji kulturalnych młodzieży, rozwój i popularyzacja twórczości środowiska akademickiego oraz sprawowanie mecenatu nad studenckimi inicjatywami artystycznymi”².

Dziś klub funkcjonuje głównie jako przestrzeń **komercyjnej rozrywki i prywatnych wydarzeń warszawskich elit** – pozbawiona oddolnej aktywności studenckiej.

Uczestnicy wydarzenia zdawali się jednak **nie dostrzegać przychyny tego stanu rzeczy, przypisując ją bierności studiujących.**

Celem przywołania tej sceny nie jest szydzenie z jej uczestników, a wskazanie, że tego rodzaju nostalgiczne i skostniałe formy pamięci przesłaniają materialne i instytucjonalne warunki powstania, trwania i ostatecznego rozpadu kultury studenckiej. Przyjrzenie się tym procesom bliżej pozwala zobaczyć w jej historii nie zabytek do odświeżonego „odkurzania”, lecz zasób — konkretnych rozwiązań instytucjonalnych, form organizacji społecznych i praktyk wspólnotowych.

KULTURA STUDENCKA A WŁADZE PRL

Z perspektywy współczesnych problemów społecznych dotyczących osoby studiujące wąsko rozumiana „**kultura studencka**” — kojarząca się przede wszystkim z produkcją artystyczną — może wydawać się **zjawiskiem marginalnym**. Takie wrażenie utwierdza zarówno uroczystości pokroju opisywanej powyżej, jak i dominujące narracje historyczne, interpretujące to zjawisko jako „wentyl bezpieczeństwa” zainstalowany przez władzę lub jako siedlisko ruchu antykomunistycznego. Jeśli jednak spojrzymy na kulturę studencką szerzej, przez pryzmat materialnych warun-

ków jej funkcjonowania — dostępu do infrastruktury i wsparcia społecznego — rysuje się odmienny obraz.

Kultura studencka funkcjonowała w bliskiej, lecz niedookreślonej relacji z socjalizmem państwowym: była zależna od zasobów publicznych, ale rozwijała się dzięki oddolnej sprawczości środowiska studenckiego, wykształcając względnie autonomiczne praktyki. Logikę tę można naświetlić przez rekonstrukcję historii klubów studenckich — fundacyjnych przestrzeni kultury studenckiej których nieliczne skomercjalizowane pozostałości, takie jak współczesne „**Hybrydy**” czy „**Stodoła**”, są śladem po studenckich dobrach wspólnych socjalizmu, wywłaszczonych w toku rozwoju polskiego kapitalizmu.

OD ŚWIE TLIC DO KLUBÓW POD SZYLD EM ZSP

Początki klubów studenckich sięgają okresu powojennego, w którym osoby studiujące aktywnie angażowały się w kształtowanie własnych przestrzeni: domów studenckich, stołówek i świetlic³. Choć działalność świetlicowa była podporządkowywana stalinowskiej wizji wychowania ideowo-oświatowego, owo **podporządkowanie było raczej odpowiedzią na**

oddolnie generowaną energię społeczną odgórnie niż zaprojektowanym programem.

¹ Gajdzińska, Iwona. 1991. Studencka misja. Rozmowa z Maciejem Wandzelem — prezydentem Parlamentu Studentów UAM. Głos Wielkopolski, 4 maja.

² Statut CKS UW „Hybrydy” z 4 marca 1983 r.

³ Walczak, Jan. 1990. Ruch studencki w Polsce 1944-1984. Wrocław: Ossolineum.

Zakładane w niemal każdym domu studenckim świetlice i rozwijany w nich amatorski ruch artystyczny znalazły instytucjonalne oparcie w założonym w 1950 roku ZSP. Organizacja powstała jako formuła kompromisu:

z jednej strony

odpowiadała na potrzebę samorządności i wspólnotowego działania,

z drugiej

wpisywała się w projekt państwowej kontroli nad poczynaniami studentów.

Podporządkowanie władzy miało jednak charakter fasadowy, dzięki czemu działalność kulturowa w klubach mogła rozwijać się **względnie** autonomicznie⁴.

Ruch klubowy zaczął rozwijać się dynamicznie w okresie odwilży 1956 roku. Kluby zakładane były w nieużywanych pomieszczeniach i opuszczonych budynkach, a ZSP zapewniało im finansowe i organizacyjne zaplecze⁵. Program był różnorodny — teatr, potańcówki, kluby filmowe, seminaria, ale też zwykłe spędzanie czasu wolnego. Celem było animowanie życia codziennego w oparciu o studencką wspólnotowość. **Rozwojowi temu sprzyjała nie tylko polityczna liberalizacja, ale też poprawa materialnej sytuacji studiujących przez podniesienie stypendiów i rozbudowę uniwersyteckiej infrastruktury społecznej⁶.**

KLUBY STUDENCKIE NA POWAŻNIE

Powszechnie konstruowana pamięć o socjalizmie rzadko pozwala doceniać jego zalety. Historia kultury

studenckiej pokazuje jednak, że zapewniał on infrastrukturę oraz mecenat umożliwiające reprodukcję studenckiej wspólnoty. Klubom studenckim daleko więc było do antykomunistycznych enklaw. Proponuję rozumieć je raczej jako **dobra wspólne**

w y d r a
e n o ż a
w infrastrukturze publicznej uczelni:⁷

systemy społeczne funkcjonujące poza logiką zarówno rynku, jak i państwowej kontroli, podtrzymywane przez praktyki wspólnotowego użytkowania przestrzeni i samoorganizacji⁸.

Nie należy jednak ulegać nadmiernej romantyzacji. Choć kluby miały być egalitarną przestrzenią integracji „różnych modeli obyczajów, różnych tradycji — chłopskich, robotniczych, inteligenckich”⁹, w praktyce produkowały własne hierarchie zdominowane przez mężczyzn i przedstawicieli inteligencji¹⁰. Możemy jednak odzyskać polityczny potencjał klubów przez wykorzystanie ich strukturalnej logiki do krytycznego przemyslenia współczesnej kondycji studenckiej wspólnoty. Kultura studencka — rozumiana szeroko, jako praktyki twórcze, społeczne i polityczne realizowane w oddolnie organizowanych przestrzeniach — przestaje być reliktem. Staje się formą studenckiego dobra wspólnego, którego brak to objaw patologii uniwersytetu w warunkach polskiego, peryferyjnego kapitalizmu.

⁴ Stemplowski, Ryszard. 2020. Zrzeszenie Studentów Polskich w socjalizmie państwowym 1950–1973. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe Scholar.

⁵ Nebřenský, Zdeněk. 2020. „Musieliśmy zmagać się z nieufnością”. Kluby studenckie w Czechosłowacji i Polsce w „długich latach sześćdziesiątych”. W Studenci w Polsce 1945–1989, red. Kamil Dworaczek i Krzysztof Łagojda, 455–475. Wrocław: Instytut Pamięci Narodowej.

⁶ Skórzyńska, Izabela, Justyna Budzińska. 2019. Życie studenckie 1945–1989. W Dzieje Uniwersytetu w Poznaniu w latach 1945–2019, red. Stanisław Jankowiak, Tomasz Schramm, 311–464. Poznań: Wydawnictwo Naukowe UAM.

⁷ Huron, Amanda. 2018. Carving out the Commons: Tenant Organizing and Housing Cooperatives in Washington, D.C. Minneapolis: University of Minnesota Press.

⁸ De Angelis, Massimo. 2017. Omnia Sunt Communia: On the Commons and the Transformation to Postcapitalism. Londyn: Zed Books.

⁹ Walczak, dz. cyt., s. 210.

¹⁰ Fidelis, Małgorzata. 2022. Imagining the World from Behind the Iron Curtain: Youth and the Global Sixties in Poland. Oksford: Oxford University Press.

Kultura dyskusji bez dyskusji. jak zaczęliśmy bać się mówić?

Gabriela Wilczyńska

R

ozmowa jest podobno fundamentem życia intelektualnego. W teorii — tym, co odróżnia *universitas* od korporacji. W tym pierwszym pytania mają prawo być nierozstrzygnięte, a poglądy zderzają się ze sobą w poszukiwaniu czegoś bliższego prawdzie. W praktyce chodzi o coś zupełnie innego — zarządzanie wrażeniami, bo to one

mają władzę. Polityczne inicjatywy młodzieżowe istnieją, **młodzi ludzie działają, organizują się, tworzą kolektywy, NGO-sy, koła naukowe, festiwale i alternatywne przestrzenie.** Widząc to, łatwo ulec optymizmowi – robią to szczególnie dziennikarze, którzy **spijają** opowieść o **zbuntowanym pokoleniu** i z namaszczeniem wsłuchują się w słowa liderów i liderów tychże.

Ale warto zapytać: **co właściwie robimy na tych spotkaniach?**

Jak wygląda wypracowywanie i dochodzenie do *naszej* prawdy?

Czy wymieniamy poglądy i analizujemy ich implikacje czy raczej potwierdzamy, że wszyscy zgadzamy się z tym samym?

Czy zadajemy sobie trudne pytania i rozmawiamy o faktach?

Czy może wytwarzamy wspólną atmosferę, w której religią jest komfort? **Kultura dyskusji jest z różnych przyczyn w głębokim kryzysie.** Weźmy na tapet parę z problemów, które przeżarły nie tylko środowisko studen-

o lęk przed potencjalnymi konsekwencjami zajęcia stanowiska. To o tyle ironiczne, że dotyczy to środowiska zafascynowanego wizją czynnego udziału w „intelektualnych ucztach” oraz estetyką buntu i oporu. Zdawałoby się, że spór będzie dla niego okazją do konstruktywnego rozwoju.



To zjawisko ma swoją klasową i estetyczną tkankę. W środowiskach, gdzie liczy się wizerunek progresywności i wrażliwości, wykształciła się szczególna forma autocenzury, której nie musiał nikt narzucać z zewnątrz. Wytworzono ją wspólnie, niemalże oddolnie. Jej mechanizm jest prosty: mówisz to, co jest bezpieczne do powiedzenia. Unikasz tego, co mogłoby narazić cię na zarzut, **jakikolwiek.** Catherine Liu, pisząc o amerykańskiej klasie profesjonalno-menedżerskiej, opisuje zjawisko, które dzięki umasowieniu kultury amerykańskiej i globalizacji w pewnym stopniu przełożyło się na nasze warunki: paraliżująca obawa przed użyciem złego słowa, wzięcia złej strony

(werdykt na temat ów strony wydawany jest niezależnie od ciebie), wykazania się **nie-wystarczającą** wrażliwością. W jej analizie klasa ta nauczyła się zastępować politykę moralnym performansem – nie walczyć o zmianę systemu i redystry-

lewicowych i radykalnych środowisk, również i tych spod znaku *against all authority*. Jej efektem jest środowisko, w którym ludzie kiwają głowami nie dlatego, że się zgadzają, ale dlatego, że to się opłaca społecznie i zawodowo.

Efekty widać w „drobiazgach”, które drobiazgami są tylko pozornie. Wchodzenie w słowo zanim rozmówca skończy zdanie – bo już wiemy, co powie, i już wiemy, czy możemy się z tym utożsamić. Rozmówca musi widzieć, jak bardzo się z nim zgadzamy i czuć się nieskrępowany naszą neutralną postawą. Może się nam nawet wydawać, że naprawdę myśli to samo, co my. Projektujemy w naszych głowach całe profile ideologiczne osób, z którymi obcujemy. Bo przecież jak jest taka fajna, to na pewno zgodzi się, z poglądem X. Normą stało się zbiorowe potakiwanie na spotkaniach. Ta pozorna zgoda jest też zewnętrznym komunikatem na temat naszej przynależności. Króluje nad nami potrzeba zachowania wizji wspólnego frontu, fajności, dobrej atmosfery, jako wartości nadrzędnej wobec nauki współpracy, solidarności i budowania wartościowych relacji. Nie mówiąc już o merytorycznym rozstrzygnięciu sporu, o ile jeszcze kogoś to obchodzi.

Żyjemy w paradoksie: **środowiska mające cenić krytyczne myślenie wytworzyły kulturę, w której krytycyzm jest tolerowany wtedy, gdy skierowany jest na zewnątrz** – na egzotyczny system, obcą organizację, grupy, w kontrze do których kształtujemy tożsamości.

CZY NA UNIWERSYTECIE MOŻNA ROZMAWIAĆ?

Części z nas zdarzyło się brać udział w wydarzeniach mających miejsce na uniwersytecie – panelach dyskusyjnych, spotkaniach wokół



ckie: lęk przed sporem i prywatyzację przestrzeni wspólnych.

POKOLENIOWA RELACJA Z KONFLIKTEM

Powiedzieć, że boimy się konfliktu to powiedzieć za mało i zarazem nie do końca trafnie. Naprawdę chodzi

bucję kapitału, lecz demonstrować swoje zaangażowanie poprzez język, gest i estetykę. Studenci, jako aspirująca część tej klasy lub jako ci, którzy dopiero do niej wchodzi, przyswoili tę logikę zatrważająco sprawnie. Kultura odwoływania się do ostracyzmu jako narzędzia dyscyplinowania debaty nie ominęła

publikacji, może nawet „debatach”. Wszelkie intelektualne uczty cechuje mnogość monologów i obecność widowni w miejscu potencjalnych aktywnych uczestników. Wraz z momentem otwarcia spotkania zaczyna się festiwal „to nie pytanie, ale raczej taki komentarz...”, a wraz z nim rusza machina wymiany spostrzeżeń. Nawet jeśli są one bardzo różne, rzadko bezpośrednio się do siebie odnoszą. Cieszymy się estetyką trwającego wydarzenia i tożsamością, jaką nam ono nadaje – intelektualności, zaangażowania, dyskusyjności, krytyczności myślenia – ale w zasadzie wiele ono w funkcjonowaniu uniwersytetu nie zmienia. Idee, nieważne, jak radykalne, zostają zamknięte na klucz w sali wykładowej, gdzie się marynują i czekają, aż ktoś podejmie się przetestowania ich w praktyce.



Rzecz jasna wszelkie dyskusje odbywające się w towarzystwie kadry naukowej zamieniają się w okazję do przechwałek, że się na czymś zna, coś się wie, o czymś się czytało. To czas, by zabłysnąć i zostać zauważonym. Po co? W ten sposób walczymy o pozostanie na powierzchni drapieżnego sektora, jakim jest nauka. Nie opłaca się dyskutować na serio, jeśli następnym zadaniem na naszej liście rzeczy do zrobienia jest zostanie honorowym członkiem klubu adoracji obustronnej.

Trudno zresztą o rozwijające nas spory i będące motorem zmiany społecznej idee, gdy wszystkie spotkania wymagają spełnienia szeregu wąskich wymogów formalnych, a wyłamujące się z tego rygoru siedzenie na pufach wydziału oznacza bycie pod obserwacją ochroniarza.

POLSKA TRANSFORMACJA I ATOMIZACJA

Nie sposób analizować tej sytuacji bez zwrócenia uwagi na transformację ustrojową lat dziewięćdziesiątych. Szok przeżyła nie tylko gospodarka, ale również relacje społeczne. Można powiedzieć, że Polki i Polacy przeszli przez własną kapitalistyczną rewolucję kulturową. Polska weszła w nowy ustrój z doświadczeniami zbiorowymi czasów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej: zakładowych stołówek, domów kultury i świetlic, które tworzyły przestrzeń wspólnoty. Spotykano się ze sobą, rozmawiano, kłócono, organizowano – nawet jeśli tylko na poziomie zakładowym czy osiedlowym. Transformacja zastąpiła te struktury rynkiem, dosłownie i w przenośni. Przestrzenie wspólne sprywatyzowano lub zwyczajnie zlikwidowano.

Czas wolny stał się towarem luksusowym. Kultura, która wcześniej miała charakter zbiorowego uczestnictwa, przekształciła się w prywatną konsumpcję. Zamiast chodzić na potańcówkę w domu kultury razem z sąsiadkami siedzimy w słuchawkach i oglądamy seriale algorytmicznie dobrane pod nasze preferencje.

Wraz ze zmianą form spędzania czasu transformacji uległy relacje. Indywidualizacja nie znaczy, że ludzie wolą być sami. Oznacza, że nauczyli się postrzegać relacje społeczne jako transakcje, w których kalkuluje się ryzyko i zysk. Społeczeństwo mające do dyspozycji infrastrukturę socjalną było zdolne do samoorganizacji, oporu i solidarności. System, który je wyposażał w te narzędzia, został zastąpiony takim, w którym instynkt samozachowawczy nie pozwala na zaistnienie takich przestrzeni i możliwości z nimi związanych.

To zjawisko dotyczy nas wszystkich, ale studium – jako klasa aspirująca, kształcąca się do wejścia na rynek pracy w określony sposób – są szczególnie podatni na tę logikę. Budujemy wizerunek od chwili chwycenia w dłoń naszego pierwszego smartfona. Wiemy, że świat widzi nas przez Instagram, LinkedIn, zdjęcia na publicznych wydarzeniach (i z kim jesteśmy na nich uwiecznieni) oraz deklarowane przez nas poglądy. Jak temu przeciwdziałać?

RESOCJALIZACJA DO ROZMOWY

Inicjatywy takie jak *Alarm Studencki*, kluby dyskusyjne, oddolne środowiska nie zmieniają kultury dyskusji z dnia na dzień. Bądźmy wobec siebie uczciwymi w kwestii skali zadania. Wytworzyliśmy – i wytworzyły nas – konkretne nawyki, lęki i estetyczne kody. Oduczenie się starych i wytworzenie nowych wymaga czasu i pracy.

Każda osoba, która wchodzi w środowisko, gdzie potakiwanie nie jest wymaganą oczywistością, dostaje realne narzędzia do jego współtworzenia. Trzeba z nich tylko (lub raczej aż) skorzystać.

Resocjalizacja do rozmowy jest wymagającym procesem. Powinniśmy dążyć do zbudowania nawyków – kończenia myśli, słuchania do końca, zastanawiania się i refleksji nad motywacjami do obrony konkretnych stanowisk. Przede wszystkim musimy nauczyć się krytykować argument, zamiast odrzucać człowieka.

Kultura nie jest wytwarzana w próżni, tylko w konkretnych piwnicach i przy konkretnych stołach. Znaczenie klubów studenckich i potrzeba ich odbudowania

jest dokładnie tym, czego brakuje współczesnej dyskusji na jej temat. Klub nie jest „eventem”. Nie jest też serią paneli z zaproszonym gościem. Klub to przestrzeń, w której można się mylić i zaczynać od nowa. To miejsce, w którym rozmowa może trwać po skończonej prelekcji, przy zimnym piwie i bez moderatora. Właśnie tego rodzaju rozmowy na osiedlach, zakładach i uniwersytetach – nieformalne, długie i pozbawione presji wizerunku – były historycznie tymi, które rodziły poczucie solidarności i polityczne programy. Fakt, że kampus centralny jednego z największych polskich uniwersytetów nie posiada takiego miejsca, nie jest estetycznym zaniechaniem, tylko politycznym posunięciem.

Co się stało ze „studenckością” Juwenaliów?

Maria Siemek



Jakie dziś są Juwenalia – każdy widzi. Przede wszystkim trudno wskazać, co miałyby je odróżniać od innych komercyjnych imprez masowych, prócz zwyczajowo przypisywanego im przymiotnika „studenckie”. Co właściwie ma w tym przypadku oznaczać to słowo? Nie wiadomo, ale może nie ma powodu, by szukać dziury w całym – w końcu Juwenalia organizują przeważnie samorządy, a więc nasi ustawowi reprezentanci. **Większość z nas na uczelni jest na chwilę – wystarczająco długą, by przygotować się do roli posłusznego pracownika i na tyle krótką, by nie zaprzętać sobie głowy kwestią „studenckości”.** Niemniej, nie chcąc zupełnie rezygnować z członkostwa w nieco mitycznej wspólnoty, możemy się zdecydować na udział w jej rzekomo największym święcie. Między zalogowaniem się na platformę pośrednika sprzedaży biletów, a przelaniem na jego konto resztek naszej wypłaty, pojawia się cień wątpliwości. Wracamy myślami do wyidealizowanego obrazu „studenta żebraka, ale pana”, czy zasłysz-

nych od pokolenia naszych dziadków opowieści o studiach jako najlepszym czasie ich życia. Zastanawiamy się, **co właściwie wspólnego ze „studenckością” mają znane nam Juwenalia?**



Przyjrzyjmy się przypadkowi Warszawy. Pomijając pomniejsze inicjatywy (takie jak chociażby lokalne obchody w poszczególnych domach studenckich), na próżno szukać w Juwenaliach udziału studentów wykraczającego poza bierną konsumpcję twórczości mainstreamowych wykonawców, **odbywającą się na dodatek z dala od murów uczelni.** Lokalizację imprezy bez problemu odnajdziemy jednak podążając za reklamami jej sponsorów, dbających o to, by portfele nie ciążyły nam zbyt mocno w trakcie koncertów. Po drodze natrafimy na stanowisko zarządu samorządu naszej uczelni i na chwilę przypominamy sobie, że bierzemy udział w „święcie studentów”. Swoje korzenie ma ono podobno w **XV wieku** – nie trzeba jednak sięgać aż tak daleko, by rozwikłać zagadkę problematycznego **przymiotnika „studenckości”.**

Koncepcja Juwenaliów, do której starają się nawiązywać ich współcześni organizatorzy, narodziła się podobno w latach 50. ubiegłego stulecia wśród krakowskich żaków związanych ze Zrzeszeniem Studentów Polskich w odpowiedzi na potrzebę uczczenia 600-tnego jubileuszu Uniwersytetu Jagiellońskiego. Początkowo kluczowym elementem święta były nie tyle pokazy artystyczne, co wspólne karnawałowe pochody, podczas których studenci symbolicznie przejmowali ulice miasta¹.

Z czasem formuła ta, wzbogacona o program artystyczny, upowszechniła się także w innych ośrodkach akademickich. Jednak, jak większość elementów kultury studenckiej, **doświadczyla poważnego kryzysu w latach 80.** Do repertuaru warszawskich imprez studenckich na dobre wróciła dopiero w ostatniej dekadzie XX wieku, a zatem już w nowych realiach społeczno-gospodarczych. Paradoksalnie, choć reaktywacja nieco zaniedbanego zwyczaju obchodów tego święta zwiastować powinna ożywienie w kulturze studenckiej, to właśnie okoliczności, w jakich się one odbywały, przesądziły o ich aktualnej, jedynie nominalnie studenckiej kondycji. Przyjrzyjmy się zatem pokrótce wybranym elementom historii warszawskich Juwenaliów okresu transformacji ustrojowej.

W 1993 roku Juwenalia miały oficjalnie odzyskać swój dawny blask. Samorządy Politechniki Warszawskiej i Szkoły Głównej Handlowej połączyły siły, by „zorganizować wielką wspólną zabawę, której celem [była] integracja

studentów wszystkich warszawskich uczelni i ubarwienie życia akademickiego, które ostatnio przycichło”². Obchody święta żaków rozpoczęły się od przekazania kluczy do bram miasta przez prezydenta Stanisława Wyganowskiego. W kolejnym roku, gdy do organizacji dołączył samorząd UW, ASP i Prywatnej Szkoły Biznesu i Administracji, wznowiono także inną tradycję – przemarsz korowodu przebierańców przez ulice Warszawy³. Ówczesne, oba te akty miały jeszcze istotne znaczenie. Sygnalizowały, że stolica przez dwa dni oficjalnie należeć będzie do studentów, uznawanych za podmiot posiadający prawo do korzystania z przestrzeni miasta i własną kulturę zasługującą na instytucjonalne uznanie. Uwagę należy zwrócić również na przestrzenie, w których Juwenalia się odbywały. Były to nie tylko istniejące jeszcze kluby studenckie czy nie tak bardzo zgentryfikowane ulice Śródmieścia, ale także pomieszczenia samych uczelni na co dzień niepełniące funkcji rekreacyjnych. Przykładowo, Przegląd Amatorskich Filmów Studenckich, będący częścią obchodów Juwenaliów w 1993 roku, odbył się w auli VII SGH⁴. Oprócz koncertów popularnych wykonawców i imprez tanecznych organizowanych w klubach studenckich, programy artystyczne w latach 1993-1994 obejmowały koncerty poezji śpiewanej, wernisaże prac studenckich, przeglądy zespołów młodzieżowych, przegląd filmów Oscarowych, turnieje sportowe czy występy studenckich zespołów muzycznych⁵. Student mógł więc nie tyle

biernie skorzystać z oferty Juwenaliów, co aktywnie je współtworzyć, a jego działalność, dzięki zakorzenieniu w uczelnianej infrastrukturze i wspólnocie, stanowiła **integralny element samego doświadczenia studiowania.** Tym zatem, co sprawiało, że Juwenalia mogły znów się odbyć – a zarazem przybrać potencjał realizacji wymiaru „studenckości” – było oddolne zaangażowanie wspólnoty studenckiej – przekraczające międzyuczelniane podziały, dostępność przestrzeni wspólnych powiązanych z uczelnią oraz możliwość aktywnego udziału w kształtowaniu własnej kultury.

O ciągłości studenckiego charakteru Juwenaliów decydowała stabilność wzajemnej relacji między konstytutywnymi elementami święta: wspólnotą studencką aktywnie współtworzącą swoją kulturę, uniwersytetem oraz miastem. **Naruszenie któregośkolwiek z nich prędzej czy później skutkowało zachwianiem tej ciągłości, a co za tym idzie, podporządkowaniem pod wymogi kapitału – czekającego w pogotowiu, by przejąć kolejny, niezagospodarowany jeszcze logiką wolnego rynku obszar.** Mając na uwadze obecną kondycję Juwenaliów, nietrudno się domyślić, że dokładnie do tego doszło. Już w 1995 roku każda uczelnia zorganizowała osobne obchody. W sytuacji skrajnego niedofinansowania i towarzyszącego mu utrwalania mechanizmów rynkowych w obszarze szkolnictwa wyższego, organizacja Juwenaliów **uzależniona była od wsparcia sponsorów,** które samodzielnie pozyskiwać mieli przedsiębiorczy studenci.

¹ Z. Bednarowska, To „UJotowcy” wymyślili Juwenalia!, „WUJ - Wiadomości Uniwersytetu Jagiellońskiego” nr 6 (2009).

² D. Mierzejewska, Juwenalia - studenci rządzą Warszawą, „Życie Warszawy” (1993).

³ A. Sopińska, Będzie głośno, wesoło i kolorowo na Juwenaliach, „Życie Warszawy” (1994).

⁴ D. Mierzejewska, Wiosna żaków, „Życie Warszawy” (1993).

⁵ D. Mierzejewska, Juwenalia - studenci rządzą Warszawą...; D. Mierzejewska, Wiosna żaków...; M. Niedźwiedzki, Tym razem razem, „Gazeta Wyborcza” (1994); A. Sopińska, Będzie głośno, wesoło i kolorowo na Juwenaliach...



Między innymi właśnie ta przedsiębiorczość, w założeniu mająca umożliwić przetrwanie kultury studenckiej, doprowadziła do wymazania jej wspólnotowego charakteru. Studenci poszczególnych uczelni zaczęli rywalizować o zasoby, niekiedy posuwając się do sabotowania inicjatyw swoich kolegów i koleżanek, na przykład podkradając sobie sponsorów⁶. Oprócz tego, zachodzące równocześnie procesy komercjalizacji klubów studenckich wiązały się ze znacznym ograniczeniem przestrzeni, w których oddolna twórczość mogłaby się realizować⁷. Na aktywne uczestnictwo w życiu kulturalnym coraz bardziej brakowało też czasu.

„Dziś student myśli przede wszystkim o tym, jak tu zarobić, jak przeżyć następny miesiąc, a nie o kulturze” - donosiło w 1995 roku Życie Warszawy.

Udział w kulturze studenckiej stawał się więc w coraz większym stopniu **przywilejem**, aniżeli integralnym

elementem tożsamości. Co więcej, „studenckość” była stopniowo wypierana z „oficjalnych” uczelnianych przestrzeni. **Przykładowo, obchodem 180 jubileuszu Uniwersytetu Warszawskiego w 1996 roku towarzyszyły niemal wyłącznie wydarzenia skierowane do „hermetyczn[ego] akademicki[ego] gron[a]: odczyty, wykłady, prelekcje”⁸, symbolicznie wykluczając studentów z coraz bardziej fasadowej wspólnoty akademickiej.**

W efekcie wszystkich tych przemian już w 1997 roku w prasie oznajmiono, że „Juwenalia z antyustrojowych mityngów przerodziły się w koncerty rockowe i zbiorowe pieczenie kielbasek”⁹, z kolei w roku 1999 warszawskie obchody święta żaków miały ograniczać się już niemal zupełnie do wieczornych koncertów¹⁰.

Nietrudno zauważyć, jak podobna jest specyfika znanych nam dziś komercyjnych, apolitycznych i opartych

na biernej, zindywidualizowanej konsumpcji Juwenaliów. Mimo to, w całej tej niezbyt optymistycznej historii, możemy wskazać pewne źródło nadziei. Gdy wiemy, jakie elementy doprowadziły do sprowadzenia wymiaru „studenckości” jedynie do roli nieco archaicznego epitetu, możliwe staje się wskazanie, jakie kroki należy podjąć, by na nowo nadać mu pełne znaczenie. **Przede wszystkim musimy odzyskać przestrzeń, w których wspólnota studencka może się reprodukować.** Nie tylko kluby studenckie, ale także samo prawo do aktywnego korzystania infrastruktury uczelni, nie jako jej klienci, ale pełnoprawni członkowie społeczności uniwersytetu. Juwenalia, jeśli faktycznie mają być świętem studentów, nie mogą sprowadzać się do koncertów popularnych wykonawców. **Powinny opierać się na oddolnej studenckiej twórczości, która wbrew pozorom istnieje – nie spełniając kluczowego dla neoliberalnego uniwersytetu warunku rentowności, została jedynie wypchnięta poza jego fizyczny i symboliczny obszar.** Na koniec warto zastanowić się, czy owa rentowność nie niesie ze sobą czegoś więcej niż zwykłej gwarancji finansowego zysku. Być może, stawiając grubą kreskę między tym, co możliwe, a tym, co niedopuszczalne, usiłuje również **zapobiec uwolnieniu politycznego potencjału wytwarzanego w doświadczenia wspólnego tworzenia i przeżywania.** Obecnie kultura studencka nie potrzebuje już kluczy do bram miasta, tylko tych otwierających ponownie bramy uczelni. Tych jednak, bacznie strzeżonych przez interes kapitału raz co raz przyjmującego formę kolejnego stoiska banku na wydziale czy prywatnej restauracji, nikt nam nie wręczy – musimy sięgnąć po nie sami.

⁶ Lepiej byłoby trochę razem, „Gazeta Wyborcza” (1995).

⁷ N. Socha, Bilard studencki, „Wprost” (1995).

⁸ Ibid.

⁹ M. Paluszkiewicz, Wyprzedaż bardów, „Wprost” (1997).

¹⁰ Tylko muzyka, „Gazeta Wyborcza” (1999).

Sztuka robienia fikołków, czyli jak wynająć salę na uczelni.

Norbert Nieścior i Jakub Mleczko



Zanim przejdziemy do artykułu pragniemy zaznaczyć, że obaj jesteśmy studentami Uniwersytetu Warszawskiego, a co za tym idzie – wszelkie opisy instytucjonalnych procesów związanych z rezerwacją sal są ściśle osadzone w kontekście tej jednej uczelni. Uczelnie różnią się pod względem administracji, więc problemy te mogą się różnić w zależności od miasta. Niemniej – generalny trend skomplikowanego wynajmu sali pozostaje taki sam dla każdej uczelni.

Czego trzeba, żeby zorganizować wydarzenie studenckie?

Po pierwsze pomysłu,

po drugie ludzi,

a po trzecie przestrzeni, w której można je zorganizować.

Wszystkie trzy elementy mają swoje własne problemy, **jednak zorganizowanie miejsca na wydarzenia niejednokrotnie bywa największą z przeszkód.**

Przestrzeń jest o tyle kluczowa, że większości wydarzeń nie można zorganizować byle gdzie. Dla komfortowego przebiegu wydarzenia sala musi być odpowiednio duża, żeby pomieścić wszystkich gości, oraz muszą w niej panować odpowiednie warunki techniczne. Mamy tutaj na myśli rzeczy takie jak dobra akustyka, adekwatny (i działający) system nagłośnienia, czy dostęp do rzutnika. Wynajęcie sali to trudny proces, który może przyprawić studenta

o niezły ból głowy. O ile w ogóle uniwersytet będzie chętny udostępnić przestrzeń swoim własnym studentom, **bo w aktualnym klimacie samowładzy władz rektorskich dostęp do sali jest traktowany bardziej jako uświęcone wyróżnienie niż prawo przysługujące każdemu studentowi.**

W większości przypadków uniwersytet udostępnia sale jedynie zarejestrowanym organizacjom studenckim. W teorii uczelnia jest otwartą przestrzenią dla studentów, ale w praktyce studenci niebędący zrzeszeni w formalnych organizacjach zderzają się z murem. Zorganizowanie spotkania w jednej z wielu sal wydziału wymaga kombinowania – nawet jeśli w danym momencie większość sal jest pusta.

Opcji na rezerwację sali jest kilka:

- poleganie na „słupach”, czyli zaprzyjaźnionych, zarejestrowanych na uczelni, organizacjach, które zgodzą się wziąć na siebie formalność wynajęcia sali;
- prośenie doktorantów o nadstawienie swojego karku za udostępnienie sali bez wiedzy administracji;
- liczenie na łaskę administracji wydziału, aby ta przymknęła oko na procedury.

Wymóg formalnego statusu wewnątrz uniwersyteckiego ekosystemu stanowi poważną barierę dla studenckiej spontaniczności. Rejestracja studenckiej organizacji na uczelni to z kolei zadanie wymagające czasu oraz cierpliwości do papierologii.



Samo czekanie na akceptację złożonych dokumentów przez *Jego Magnificencję* przypomina bardziej czyścić niż proces administracyjny. Jednak posiadanie statusu formalnej organizacji studenckiej oraz wybranie wolnego terminu nie zawsze wystarcza, by bez problemu zarezerwować salę. Poziom formalizacji tego procesu znacząco różni się w zależności od uczelni.

Przykładowo na Uniwersytecie Warszawskim obowiązuje procedura, zgodnie z którą studenci chcący zarezerwować salę muszą z odpowiednim wyprzedzeniem złożyć do administracji wydziału formularz rezerwacyjny, a następnie oczekiwać na jego zatwierdzenie przez władze jednostki w formie podpisu i pieczęci. Wymagany czas wyprzedzenia zależy od charakteru wydarzenia i przewidywanej liczby uczestników. W przypadku spotkań dla mniej niż 50 osób formularz należy złożyć co najmniej 5 dni wcześniej, natomiast wydarzenia gromadzące ponad 50 osób wymagają co najmniej **dwutygodniowego wyprzedzenia.**

Formularz rezerwacji dla kogoś, kto spotyka się z nim po raz pierwszy może wprowadzić w zakłopotanie przeróżnymi tabelkami. Największą konsternację budzi ta, w której jest wymieniony sposób zapłaty za wynajem sali. Jako pierwsze pojawiają się tam przedpłata

płatność jednorazowa, nota oraz faktura, a na samym końcu wymieniona jest „inna forma zapłaty”. Po niej znajduje się tabelka na uzupełnienie danych dotyczących obciążeń finansowych. Tak naprawdę rubryki te należy wypełniać zwykle dopiero wtedy, gdy administracja zarządzająca budynkiem przyjmuje balcerowiczowską politykę fiskalną wobec studentów i traktuje ich jak każdego innego klienta na wolnym rynku, nie przewidując, że student może chcieć z niej korzystać poza wyznaczonymi godzinami zajęć. Gdy nie ma się błogosławieństwa władz i doświadczenia w uczelnianej biurokracji, działalność studencka na uczelni bywa utrudniona nawet formalnie zarejestrowanym organizacjom.

Sam uniwersytet najchętniej wynajmowałby salę wyłącznie na „apolityczne” konferencje naukowe, podczas których można pochwalić się osiągnięciami (najlepiej takimi, które da się przełożyć na granty, punkty i złotówki) przed ogólnopolskim, a czasem nawet międzynarodowym gronem. Od czasu do czasu uczelnia zgodzi się również na integrację samorządów studenckich, podczas której samorządowcy mogą na chwilę zdjąć krawaty,

kterze, wszystko zależy od tego, czy uniwersytet uzna je za wizerunkowo bezpieczne i niegrożące medialnym szumem. W takich przypadkach sala czasem też się znajdzie. **Trudno jednak traktować to jako przejaw otwartości na debatę polityczną. Bardziej przypomina to formę kontrolowanej opozycji, dzięki której uniwersytet może pokazywać, że wcale nie boi się wydarzeń o politycznym charakterze.**

Uniwersytet w istocie ocenia „prawomyślność” wydarzenia. Jeśli jakieś spotkanie okazuje się dla władz **niewygodne** – na przykład dlatego, że jest zbyt polityczne – administracja zawsze może odmówić studentom udostępnienia sali. A gdy uczelnia obawia się otwartego powiedzenia „nie”, niemal zawsze znajduje się jakiś problem techniczny lub administracyjny, który ostatecznie uniemożliwia organizację wydarzenia. Nas, młodych związkowców, spotykało to wielokrotnie. Organizacja wydarzeń politycznych czy kulturalnych regularnie napotykała trudności. Bywało, że **dokumenty wypełnione z najwyższą starannością oka-**

zywały się „niekompletne”,

albo że dzień przed wydarzeniem pękała rura i zalewała salę, którą mie-

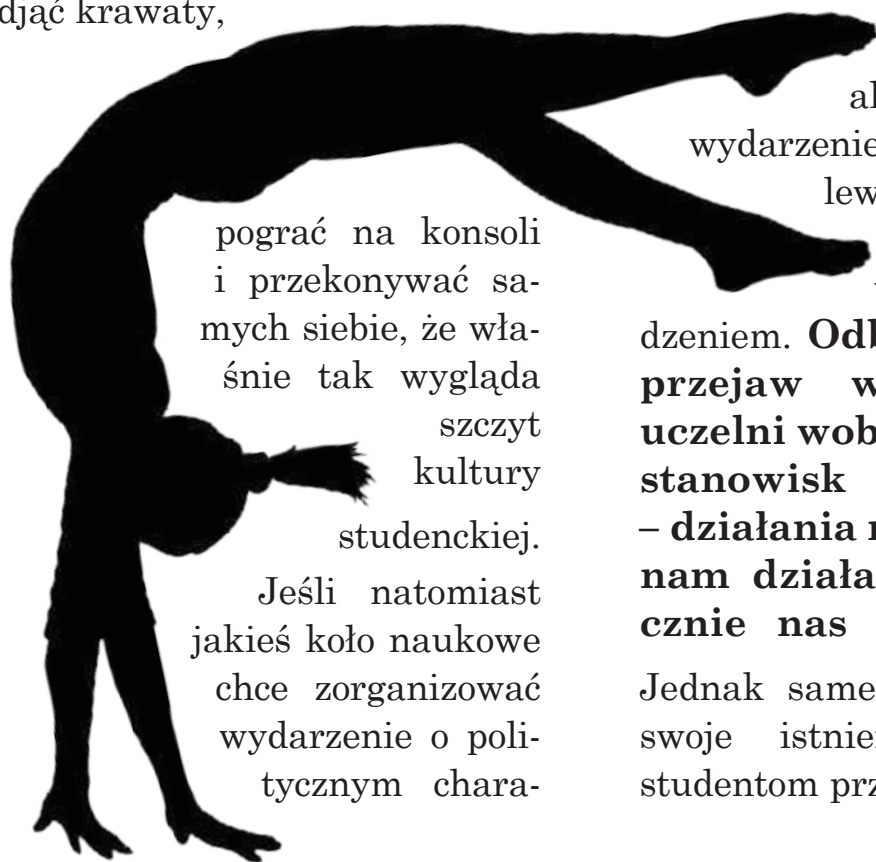
liśmy zarezerwowaną z wyprzedzeniem. **Odbieramy to jako przejaw wrogości władz uczelni wobec nas i naszych stanowisk politycznych – działania mające utrudnić nam działalność, a ostatecznie nas zdemotywowować.**

Jednak same uczelnie, poprzez swoje istnienie, udostępniają studentom przestrzeń – i to taką,

której nie da się kontrolować tak łatwo jak sal wykładowych. Budynki wydziałów mają przecież korytarze, pokoje socjalne, strefy do odpoczynku, czy miejsca wspólnej nauki. Aby z nich skorzystać, nie trzeba pytać nikogo o zgodę. Po wielu niepowodzeniach w wynajmowaniu sali sami zdecydowaliśmy się organizować nasze otwarte wydarzenia właśnie w przestrzeniach wspólnych. Taka forma działania ma oczywiście swoje ograniczenia. Akustyka rzadko dorównuje tej z sal wykładowych, a dostęp do technicznych udogodnień – takich jak rzutnik czy system nagłośnienia – jest zwykle żaden. Nie wszystkie wydarzenia da się też zorganizować „na dziko”. Trudno przeprowadzić koncert lub imprezę bez mikrofonów i głośników, dodatkowo ograniczają nas sztywne godziny zamknięcia budynków wydziałów. Mimo to taka forma organizowania wydarzeń pokazuje coś bardzo ważnego:

nie
potrzebujemy
niczyjej
zgody,
żeby
korzystać
z naszych
uczelni.

Dlatego zachęamy i Was do organizowania wszelkich spotkań i wydarzeń w przestrzeniach wspólnych. Musimy pokazać, że biurokracja – celowo zbudowana tak, aby ograniczać i zniechęcać – **nie jest w stanie zabić studenckiej samoorganizacji.**



pograć na konsoli i przekonywać samych siebie, że właśnie tak wygląda szczyt kultury studenckiej.

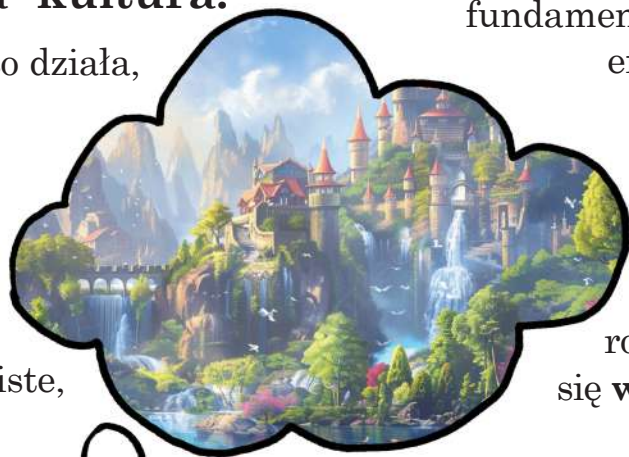
Jeśli natomiast jakieś koło naukowe chce zorganizować wydarzenie o politycznym chara-

DIY OR DIE? Kilka luźnych refleksji wokół kultury oddolnej

Jędrzej Szczepański

Lata obecności zarówno w sygnowanym literami D-I-Y hardcore punku, jak i w oddolnym, bądź co bądź, związku zawodowym zbudowały mi obraz tego, co można osiągnąć łączoną pracą własnych rąk, chęci, pomysłów i chachmętów. Na scenie hardcore punk jestem zdecydowanie dłużej niż w Inicjatywie Pracowniczej, więc perspektywy te zaczynają się w różnych momentach mojego życia. **Co jednak ważne, działalność związkowa znacznie odświeżyła mi energię na scenie, a pewna etyka i metody działania DIY upunkowiają to, jak można działać w związku – to naczynia połączone.** Organizacja wydarzeń i organizacja polityczna oczywiście nie jest tym samym, w szerszym kontekście polegają zupełnie na czym innym, ale naczynia te może spinać wspólny długofalowy efekt, którym jest **żywa, oddolna i niezależna kultura.**

Ja to widzę, jak to działa,
po co to działa,
i czy w ogóle
to działa?
Postaram
się odpowiedzieć
na tym podobne,
łącząc to, co osobiste,
z tym co –
mam nadzieję



ah... trzecie
miejsce...



– można wynieść szerzej. Szykujcie się więc na miks wpisów z pamiętnika podróży po europejskich festiwalach sceny hardcore, kilku insajderskich ciekawostek organizacyjnych i tzw. luźnej kminki.

KONTRKULTURA?

Nad pytaniem czy jest na to potrzeba? nie zastanawiam się długo. Najkrócej jak się da: **tak, oddolna kultura jest potrzebna!** W rozczłonkowanej i zmonetyzowanej rzeczywistości, gdzie wszystko jest pozbawione trwałości i przypięte *price tagiem* – od naszych relacji społecznych, przez warunki pracy, do stabilności psychicznej – kontrkulturą jest **kultura współudziału**. Tworzenie przestrzeni, do której wejście nie jest związane szeregiem stopni pośrednich, przedsprzedaży, pul biletowych, i które nie kojarzą się od drzwi z atmosferą zarobku jest niezwykle ważne. W takich warunkach rodzą się relacje społeczne o silnych fundamentach, a w dalszym efekcie łańcuchowo

powstają nowe inicjatywy. W momencie, w którym próg wejścia jest szeroko dostępny, rodzi się **współuczestnictwo**.

Posłużę się lokalnym, trójmiejskim kontekstem. W tym roku współorganizowaliśmy i zorganizowaliśmy dwa wydarzenia artystyczne pod szyldem Inicjatywy Pracowniczej: koncert benefitowy (tak właściwie podpięty pod wydarzenie kolektywu Warehaze Gigs) na ga-

zetę, którą trzymasz właśnie w ręce lub czytasz jej elektroniczną wersję, oraz AntyJuwenalia. Zarówno benefit „alarmowy”, jak i AntyJuwenalia, **urośli lokalnie dzięki spontanicznej interaktywności** – okazało się, że chcących wesprzeć niezależną prasę studencką oraz chętnych dołożyć cegiełkę do organizacji darmowego studenckiego wydarzenia było mnóstwo. Zespoły i DJ-e byli chętni wesprzeć benefity swoimi występami, studentki przynosiły własne płyty, ziny i **nagle sprawa wydarzenia stała się równowarta samej zabawie**. Można było odnieść wrażenie, że muzyka i zabawa były równym stopniem do wspólnej przestrzeni niesionej konkretną misją polityczną naszego związku.

TO CO JEST MOJE, CO JARA MNIE

Wspólnotowość rodzi się przez współuczestnictwo, a stąd krótka droga do wspólnej tożsamości (górnolotnie, wiem). Możliwość *dołożenia* cegiełki, odczucie bliskości na wyciągnięcie ręki, zburzenie jakiejś granicy organizator-ucześnik – w ten sposób buduje się tożsamość lokalna. Nie wiem, czy znam lepsze remedium na kulturalne kompleksy niż współorganizowanie oddolnej kultury. Na pewno lepszego nigdy nie doświadczyłem, a łapałem się przez lata na wzdychaniu do „zagranicy”. Podróżując po festiwalach hardcorowych w Szwecji czy Szkocji, nabrałem najbardziej pozytywnej zazdrości w swoim życiu. Zobaczyłem organiczne, żyjące na własnych warunkach, działające tak, jak mają na to ochotę sceny kultury, którą kocham. Szkocki i szwedzki hardcore osiągnęły najważniejszy cel

w tym wszystkim, czyli **zbudowały silną, lokalną tożsamość**. W takich warunkach zespół dzieciaków grających drugi koncert jest równoważny zespołowi zagranicznemu, który zamyka wieczór. Podobnie ma się rzecz w polskim hardcorze, gdzie przywiązanie do grających regularnie i często zespołów tzw. PLHC ciągle rośnie, moshpity są coraz większe i dziksze, *singalongi* coraz bardziej chórowe. Widać to też na DJ setach, gdzie przywiązanie do znanego miejsca czy DJa/DJki (zwłaszcza takich, którzy lubią pozmienić swoje sety) również rośnie. To, co jest na wyciągnięcie ręki i tak dostępne, przyspawane wręcz do naszego lokalnego obcowania z kulturą, urasta do wagi potrzebnego i czegoś, co potrafi dać poczucie, **że jest się tam, gdzie trzeba. Z ludźmi, których nam trzeba.**

CHCESZ MIEĆ DOBRZE? ZRÓB TO SAM!

Porada dla tych, którzy chcą zacząć robić u siebie? Zorientuj się lokalnie, chodź na koncerty, rozmawiaj na tych koncertach, na oddolnych imprezach. Nie mówię tutaj oczywiście o suchym networkingu, tylko o faktycznym uczestnictwie. Nie zastanawiaj się, czy ten punk jest dla Ciebie, czy te DJ sety to

na pewno to – próbuj tego, co są w stanie zaoferować ludzie z tego samego pułapu możliwości. **Jeśli coś jest oddolne, to znaczy, że często startuje z tego samego poziomu możliwości, który macie we własnych rękach.**

Bądź takim uczestnikiem, jakiego chciałbyś zobaczyć u siebie na wydarzeniu.

Nie ma co udawać, że nie nażresz się przy tym stresu i nie przyprawisz o siwe włosy, dla najaktywniejszych pewnie nawet w nagrodę znajdą się zakola. Zorganizować oddolne wydarzenie to droga z nawracającym załamaniem nerwowym wpisanym w przebieg, miks kilkutygodniowego planowania z wielokrotnym lepieniem na szybko w celu ratowania sytuacji. Przygotujcie się na setki DM-ów pomiędzy kilkunastoma ludźmi i poszukiwanie pojedynczych kabli w kilku dzielnicach miasta. **Dlaczego warto?** Bo w finalnym rozrachunku robicie to dla szerszej sprawy. **Przeciw logice kapitału jest działać dla ludzi, a bez zysku.** A długofalowo o to właśnie chodzi w hardcore punku i o to chodzi ruchom społecznym – żeby życie bez (wy)zysku było życiem.

[Z HISTORII RUCHU STUDENCKIEGO]

Bratnia Pomoc – 95 lat i koniec?

Adam Ochwat

Wyciszająca warstwa śniegu przykryła radykalną historię polskich studentów i studentek¹. Polski ruch studencki cierpi na amnezję z wielu historycznych powodów. Trzeba mu więc ciągle przypominać o jego korzeniach. Polska społeczność studencka uczestniczyła w Powstaniu Listopadowym, Styczniowym oraz w Rewolucji 1905 roku. **Kto pamięta, że w latach 80. XIX w. na Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim działała chociażby grupa Krusińszczyków, której zawdzięczamy pierwszy polski przekład „Kapitału” oraz ukształtowanie młodego Ludwika Krzywickiego?**² Okres II RP był nie mniej burzliwy – mimo silnych ruchów

socjalistycznych lata 30. to czasy faszyzmu i antysemityzmu na polskich uczelniach, których ukończeniem stało się wprowadzenie na wniosek prawicowych organizacji studenckich getta ławkowego na uczelniach w całym kraju. Długo by mówić o uczestnictwie polskiej młodzieży, w tym studentów i studentek, w II wojnie światowej. Lata 1944–1950 to ponowny renesans progresywnych ruchów studenckich oraz ich zdławienie w toku stalinizacji. Jedna tylko organizacja przetrwała cały ten okres, choć ze względu na jej rozproszenie i liczne turbulencje, trafniejsze byłoby stwierdzenie że przetrwała jej *idea*. Chodzi oczywiście o Bratnią Pomoc, o której dawnej legendzie przypominają dziś byty raczej śmieszne, jak krakowska fundacja „Bratniak”, czy liczne wydziałowe pokoje socjalne noszące to miano.

¹Tekst na podstawie fragmentów książek Piotra Hübnera pt. Encyklopedia polskiej nauki akademickiej (UMK, 2023), Jana Walczaka pt. Ruch studencki w Polsce 1944–84 oraz pracy zbiorowej pt. Monumenta Universitatis Varsoviensis (UW, 2016).

²Była to nieformalna grupa o orientacji socjalistycznej skupiona wokół Stanisława Krusińskiego, studenta medycyny. Opisał tę historię m.in. Henryk Holland w swojej biografii Krzywickiego (Holland, H. 2007. Ludwik Krzywicki – nieznany).

Pierwsze Towarzystwo Bratniej Pomocy powstało z inicjatywy polskich studentów Uniwersytetu Lwowskiego w roku 1855. Z kolei Bratnia Pomoc powołana jako ogólnopolska organizacja studencka tuż po II wojnie światowej została zlikwidowana siłą przez władze PRL w roku 1950. Historia tego ruchu trwała bez mała 95 lat. **Czym** więc był ruch samopomocy studenckiej w Polsce? **Czego** możemy się z jego historii nauczyć?

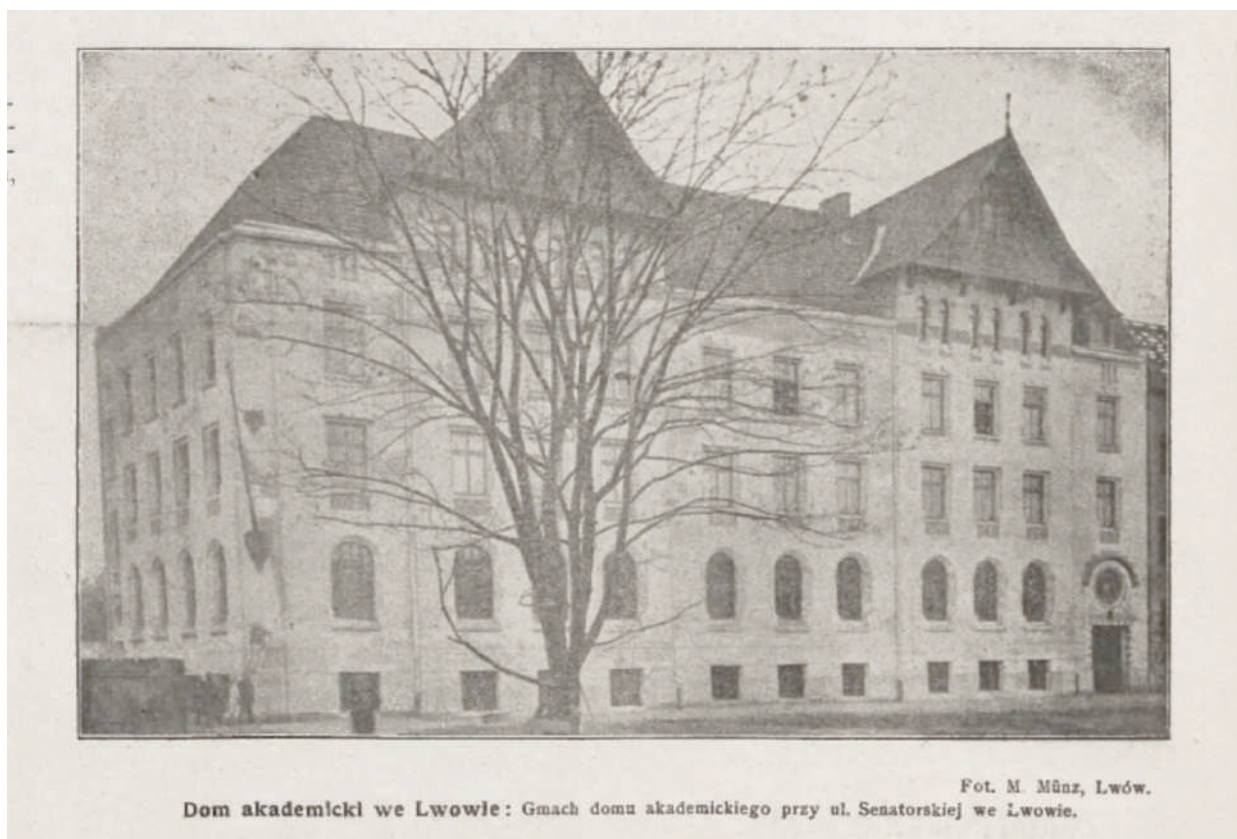
Jak pisał w 1946 r. Krzysztof Dunin-Wąsowicz:

„początki ruchu socjalistycznego wśród polskiej młodzieży akademickiej w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego stulecia to zarazem historia początków polskiego ruchu socjalistycznego w ogóle”³.

Lwowscy studenci, nie godząc się na tragiczne warunki życia znacznej części swojej społeczności, utworzyli z początku kasę pożyczkową wraz z kilkoma dodatkowymi usługami.

Pożyczki zamierzano rozdzielać comiesięcznie, do tego dawać „wikt, ubranie, mieszkania, lekcye i zajęcia biurowe”. Szukano tanich obiadów, obsługi krawieckiej i szewskiej, mieszkań przy klasztorach, bezpłatnego leczenia i lekarstw, zniżek w łaźniach i łazienkach. Z czasem uruchomiono dochodowe „przedsiębiorstwa” (zabawy ogrodowe i wieczorki karnawałowe). (Hübner s. 1680)

Dla kontekstu – realia carskiej Rosji, kraju wówczas słabo rozwiniętego, w połączeniu z systemową dyskryminacją Polaków sprawiały,



że trudno było wyobrazić sobie inne próby rozwiązania problemu studenckiej biedy, niż samoorganizacja. Nie było raczej mowy o oficjalnej wizycie w ministerstwie, obietnicy „wysłuchania postulatów” i wspólnym zdjęciu. Początkowo, wobec braku zgody władz, Bratnia Pomoc działała nielegalnie. W 1859, również w konspiracji, powstało kolejne towarzystwo – w Galicji, na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Formułę bratniacką zdefiniował Stanisław Starzyński [...]: „z Towarzystwa Bratniej Pomocy korzystać może tylko uczeń niezamożny, jakkolwiek z drugiej strony na zamożnych akademikach ciąży właśnie moralny obowiązek – i to tembardziej, im który zamożniejszy – należenia w imię istotnej koleżeńskej solidarności do Bratniej Pomocy, w tym celu jedynie, aby powiększyć fundusze rozporządzalne na korzyść ubogich kolegów”.

Statut Akademickiego Towarzystwa Bratniej Pomocy na UJ zatwierdzono, po dziesięcioletnich staraniach, 29 grudnia 1865 roku. Zapisało się 222 studentów prawa oraz 54 studentów filozofii, czyli nieco więcej niż połowa ogółu studiujących. (Hübner s. 1681)

Co ciekawe, od początku, mimo że organizacja była prowadzona przez samych studentów, formalną kuratelę sprawowali nad nią urzędnicy uczelni. UJ udostępniał również „bratniakowi” biurko oraz salę do posiedzeń. Profesura wygłaszała odpłatne wykłady, z których dochody przekazywano do kasy Towarzystwa.

Decyzję o przyznaniu pożyczki studentowi podejmowała komisja, wymieniana co 3 miesiące w celu zachowania obiektywności. Studenci mieli jednak dużo większe ambicje i zapał. W latach 1906–1907, lwowski „bratniak” wybudował ze wsparciem polskiej arystokratki I Dom Akademicki im. Adama Mickiewicza.

³ Dunin-Wąsowicz, K. 1946. Ruch akademickiej młodzieży socjalistycznej w Polsce [w:] Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej (Akademickiej): Historia, Ideologia, Zadania.

⁴ Nowości Ilustrowane, nr 48, 30 listopada 1907, s. 9.

Z kolei na UW, Bratnia Pomoc zawiązała się nielegalnie w 1889 roku.

W roku ak. 1893/1894 do nadal nielegalnej BP UW należało około 500 spośród 700 studentów Polaków. Bratnia Pomoc prowadziła kuchnię akademicką, organizowała odczyty publiczne oraz konkursy na prace naukowe studentów. Działał przy niej Sąd Ogólnoakademicki orzekający w przypadku naruszenia zasad etosu koleżeńskiego [...]
(Hübner s. 1684/5)

Nową Bratnią Pomoc – już polskiego Uniwersytetu Warszawskiego – utworzono w listopadzie 1915 roku. Ta uruchomiła dom studencki, sklep, bufet w Pałacu Kazimierzowskim oraz Biuro Pośrednictwa Pracy. Zrzeszała coraz więcej studentów – początkowo 50%, następnie 75%.
(Hübner s. 1686)

Warto zauważyć, że tradycja samopomocy studenckiej od początku stała w opozycji do tradycji konserwatywnych i elitarystycznych korporacji studenckich – do tego stopnia, że członkowie obu organizacji nosili różne rodzaje czapek. Uczelniane Bratnie Pomoce nie były na początku XX wieku zorganizowane w żadną szerszą strukturę, lecz funkcjonowały ich odłamy o zasięgu ogólnopolskim, np. *Towarzystwo Domu Zdrowia Uczącej się Młodzieży Polskiej „Pomoc Bratnia” w Zakopanem*, które wynajmowało domy wypoczynkowe, a następnie wybudowało własne sanatorium⁵.

Docieramy jednak do czasu odzyskania niepodległości, który silnie odbił się na społeczności studenckiej. Konstytucja marcowa z 1921 roku wprowadziła zasadę bezpłatnych

studiów w szkołach państwowych, która obowiązywała (głównie w teorii) do 1935 roku. **W 1923** wprowadzono państwowe, chociaż zwrotne, **stypendia** dla najuboższych studentów. **Panowała jednak bieda na tyle skrajna, że wszystkie te rozwiązania musiały być finansowane z różnych innych źródeł, pobierano opłaty za dyplomy, korzystanie z biblioteki czy ocenę prac końcowych.** Organizowano liczne składki na cel rozwoju wsparcia socjalnego, np. budowę akademików. Wobec tego rozpoczęto działania polityczne mające na celu instytucjonalizację i zwiększenie skali studenckiej pomocy socjalnej. Na początku lat 20. powstał *Ogólnopolski Związek Bratnich Pomocy Młodzieży Akademickiej*. Podstawą jego działań były:

**samopomoc,
samowystarczalność,
spółdzielczość.**

Oprócz zwrotnych po ukończeniu studiów comiesięcznych pożyczek, ówczesne bratniaki prowadziły np. pośrednictwo pracy dorywczej. Istotnym wątkiem oddającym ówczesny *zeitgeist* był **nacisk na niezależność instytucji pomocowych od państwa przy jednoczesnej niechęci do filantropii**. Taka organizacja ruchu miała liczne zalety, przede wszystkim uniezależnienie od polityki państwowej, propagowanie samopomocowego etosu czy w ogóle realne budowanie praktyk spółdzielczych, które miały w ówczesnym ruchu lewicowym silny posłuch. „Agendy gospodarcze” BP działały z rozmachem – w latach 1920–31 w Warszawie działała np. Składnica Akademicka, zaopatrująca studentów w odzież i bieliznę.

Działały też sklepy, kioski i drukarnia. Komisja Wydawnicza BPS na Politechnice Warszawskiej miała wręcz monopol od władz uczelni na druk skryptów, a na dodatek wydawała podręczniki. Z kolei w Poznaniu, studenci prowadzili: „kuchnię, śniadalnię, świetlicę, herbaciarnię, jadalnię, rzeźnię, zakład kaletniczy oraz pracownię stolarską”. **Wszystko to pozwalało studentom uniknąć indywidualnej „szlachetnej żebraniny”,** dzięki zdobyczom ruchu samopomocowego. Bratniaki miały też silny rys wychowawczy. W 1931 roku Bratnia Pomoc Studentów UW liczyła **7919 członków** zwyczajnych, w tym **2461 kobiet**.

„Sprzeciwiano się tworzeniu odrębnego bratniaka studentek, choć w styczniu 1932 roku odbył się w Krakowie zjazd żeńskich stowarzyszeń samopomocowych”.

Lata 30. to **smutny upadek Bratniaków**, odzwierciedlający tragiczną sytuację polityczną w Polsce, związany z przejęciem organizacji przez członków „Młodzieży Wszechpolskiej” oraz etatowych urzędników.

Sanacja podwyższyła jednocześnie sumiennie opłaty za studia i narzucała odgórnie zasady wyboru władz w stowarzyszeniach studenckich, co stanowiło zaprzeczenie całej idei samopomocy.

⁵ Jednym z organizatorów sanatorium byli Kazimierz i Bronisława Dłuscy. Ten pierwszy uczestniczył w warszawskim socjalistycznym ruchu studenckim za czasów Krusińskiego, a jego żona, siostra Marii Skłodowskiej, była pierwszą polską ginekolożką i jedną z pierwszych działaczek feministycznych i członkinią m.in. Ligi Kobiet Galicji i Śląska. Oboje działali w PPS.

Nawiązanie ciągłości życia uniwersyteckiego oznaczało odtworzenie instytucji od dziesięcioleci wyrażającej interesy części społeczności studenckiej: Towarzystwa Bratnia Pomoc, czyli Bratniaka. Senat zatwierdził jego statut i zarząd 24 X 1945 r., a Ministerstwo Oświaty 12 VIII roku następnego nadało mu osobowość prawną. [...] Bratniak podtrzymywał tradycję samoorganizacji i autonomii studenckiej, ale unikał zaangażowania politycznego i nawiązywania do przedwojennych zaszczołów, które musiały go kojarzyć z „reakcją”. [...] Na Bratniaka liczyli studenci chcący brać udział w balach, choinkach i śledziach.

Choinka 20 XII 1945 r. zgromadziła ponad 700 osób. [...] Rozliczne ówczesne imprezy uznać można za objawy dążeń wspólnotowych oraz odreagowania złych doświadczeń i przykrej teraźniejszości. Były też źródłem dochodów, dlatego do ich organizowania paliły się także stowarzyszenia czy koła naukowe. Bratniak prowadził taneczno-wokalne „Sobótki” karnawałowe, sekcje: żywego słowa, teatralną, literacką, muzyczną i chór, organizował koncerty, niektóre w dużych salach warszawskich, a także wysyłał orkiestrę na studenckie wczasy. [...] Bratniak obsługiwał powszednie życie studentów. Prowadził sekretariat (niech miarą jego wielkości będzie 7 maszyn do pisania w 1946 r.) oraz przedsiębiorstwa o własnym rozrachunku: stołówkę i firmę transportową. Wydawał bony uprawniające do konsultacji lekarskich, kierował studentów do ambulatoriów, organizował prześwietlenia płuc, rozdzielal odzież, żywność, tran i leki, prowadził pośrednictwo pracy i sprzedawał skrypty. Jego biura mieściły się w trzech pokojach dawnej królikarni, zwanej też Belwederkiem, w zakątku dziedzińca. Wydawano tam karty żywnościowe, odzieżowe czy macierzyńskie „przez okienko, wychodzące na zewnątrz budynku, a interesanci wyczekiwać muszą nawet w największy mróz, stojąc na dworze”. Rektor przekazał także Bratniakowi pawilonik na dziedzińcu, w którym mieściła się dotąd pracownicza stołówka. Towarzystwo otworzyło tam 24 XI 1945 r. stołówkę własną: „Z powodu braku stołów i krzeseł studenci jedli stojąc”.

(Brzostek s. 44–45)

W latach 1948–1950 władze państwowe doprowadziły za pośrednictwem partyjnych działaczy studenckich do całkowitej likwidacji Bratniej Pomocy, mimo masowego zaangażowania studentów w ruch odbudowy.

Stołówki uczelniane przekazano w 1950 roku spółdzielniom spożywców, co podniosło koszty ich prowadzenia i ceny posiłków. Domy wczasowe BP zostały przejęte Przez Główny Komitet Wczasów Akademickich rezydujący w Warszawie. Uczelnia miała

też przejąć „tę część majątku ruchomego, która nie zostanie przekazana Komitetowi Uczelnianemu ZSP, jak tabor samochodowy, wyposażenie stołówek itd.”. [...] Do pisma załączono Instrukcję ZSP w sprawie likwidacji Bratniej Pomocy. Uczelniane Bratnie Pomoce rozwiązano z dniem 15 maja 1950 roku (nielicznych pracowników etatowych BP zwolniono z dniem 1 maja). W miejsce Zarządów BP powołano Komisje Likwidacyjne. Władze uznały, że funkcje Bratnich Pomocy będzie pełniła nowa struktura – samorządowe Zrzeszenie Studentów Polskich.

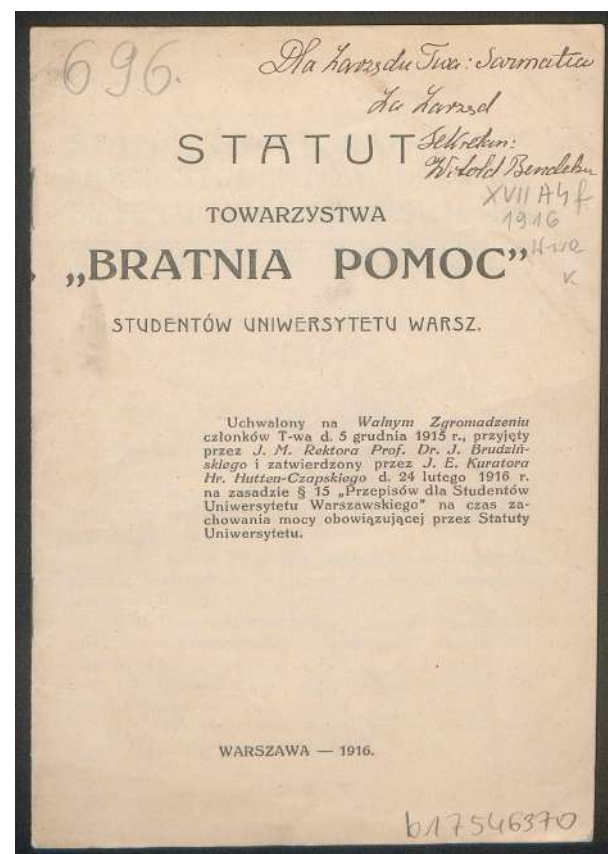
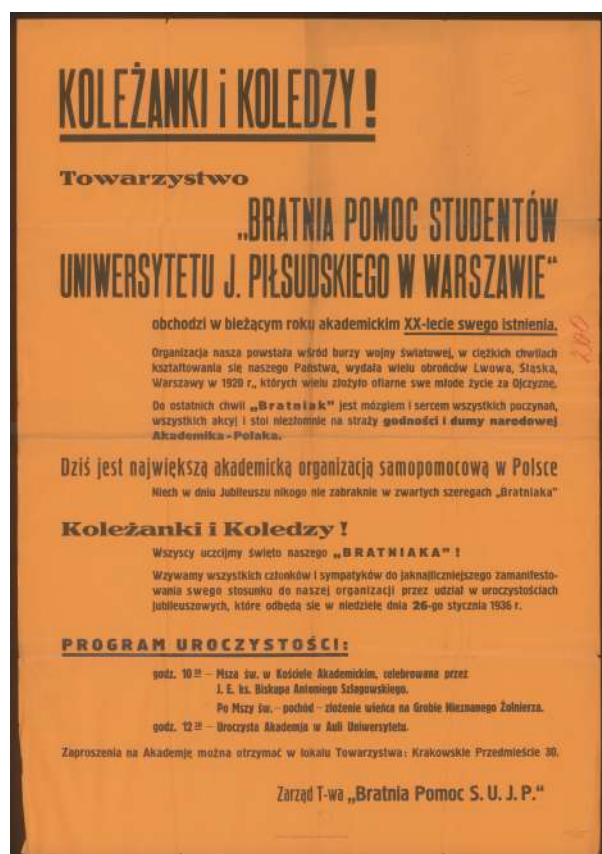
(Walczak)

W tym roku mija 171 lat od czasu założenia Towarzystwa Bratniej Pomocy przez polskich studentów we Lwowie. To, że student-Polak był wówczas obywatelem jednej z ostatnich kategorii i jako taki nie zasługiwał na pomoc państwa nikogo nie dziwi. Dziwi raczej to, jak z biegiem czasu zdajemy się wracać do ówczesnych, tragicznych realiów politycznych dla społeczności studenckiej, *nota bene* podobno żyjąc w dwudziestej-którejś gospodarce świata.

Nic wam się nie należy, biedujcie – powiedział car.

Nie mamy dla was pieniędzy – powiedziałby Kulasek, gdyby umiał mówić.

W słowach Piotra Hübnera, „akademicki ład korporacyjny panujący w *świątyniach nauki* został obalony na przełomie XIX i XX wieku wskutek wtargnięcia ideologii i polityki. Terenem walk było środowisko studenckie”. Czy studenci i studentki obronią się przed powrotem do średniowiecza w wydaniu neoliberalnym?



KRASP

Partner Merytoryczny
Projektu



ORDYNACKA



FUNDACJA
UNIVERSITATIS
VARSOVIENSIS



Minister Wieczorek: ok. 10-20 mln zł na rozwój kultury studenckiej

1-dniowy karnet na Juwenalia
cena studencka: **399,-**



Czy studenci potrzebują dzisiaj kultury?



Kultura studencka nie istnieje?

**EGURROLA
DANCESTUDIO**

Kultura studencka jako praca produkcji: kobiety, warunki, wytwarzanie

Gabriela Wilczyńska



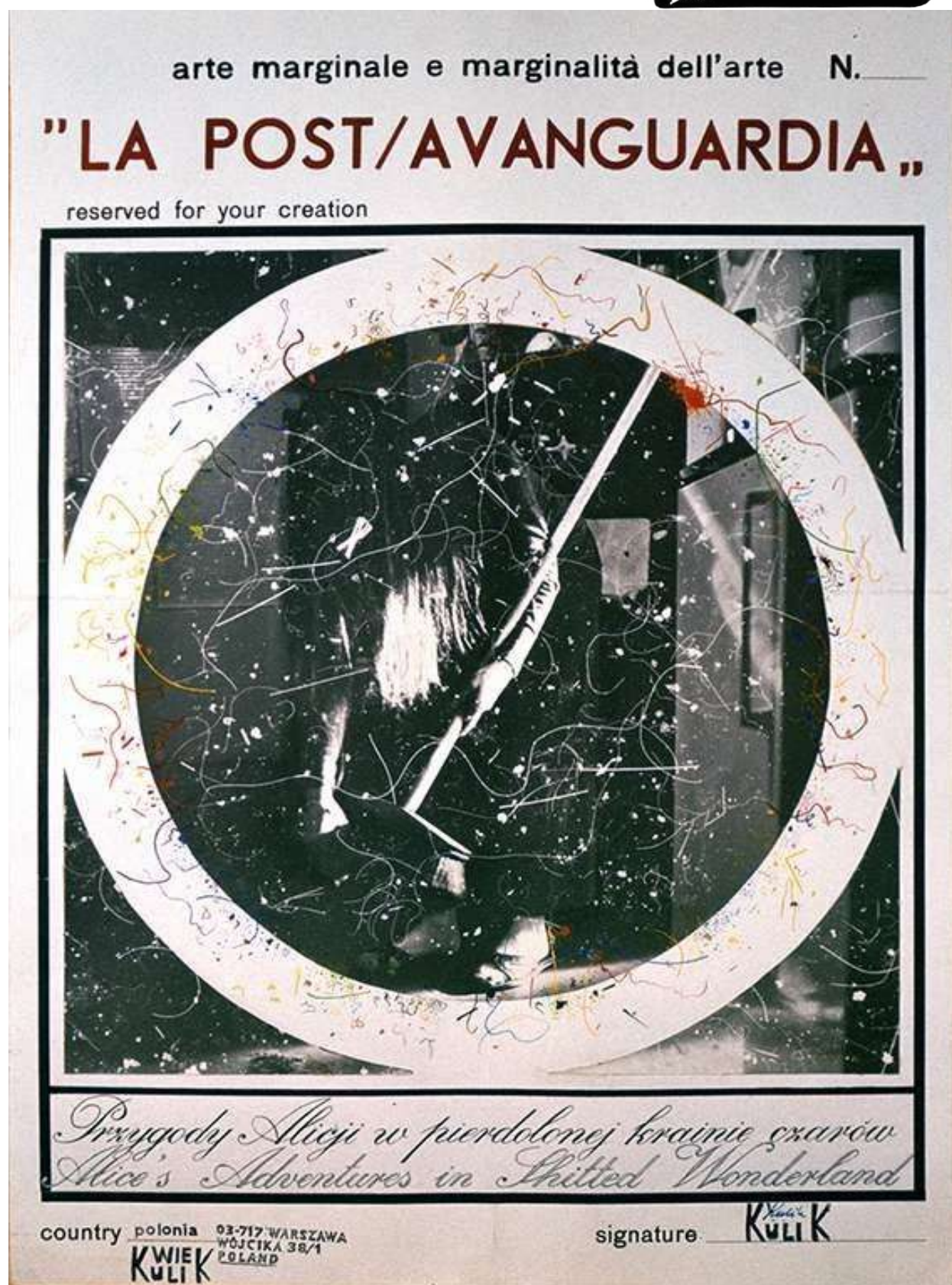
W 1977 roku Zofia Kulik sfotografowała siebie z miotłą. To zdjęcie było częścią pracy dokumentacyjnej,

którą prowadziła równolegle z działalnością artystyczną w duecie KwieKulik i w ramach Pracowni Działań, Dokumentacji i Upowszechniania. PDDiU mieściła się w jej mieszkaniu, Zofia prowadziła archiwum, korespondencję i organizację.

Opowieść o kulturze studenckiej lat 70. i 80. jest zazwyczaj opowieścią o ideach i przestrzeniach: **Sigma, Hybrydy, FAMA, ZSP**. Rzadziej jest opowieścią o produkcji przestrzeni. W środowiskach artystycznych i studenckich kobiety wykonywały tę pracę nie jako wolontariat czy usługę dla innych, ale jako własną praktykę – twórczą, intelektualną, organizacyjną. Ich wytwarzanie bywało jednak klasyfikowane inaczej niż analogiczna praca mężczyzn.

Polska Ludowa stworzyła dla tej pracy warunki materialne. Instytucje takie jak ZPAF czy domy kultury zatrudniały kobiety jako artystki i pracownice kultury w ramach systemu, który traktował twórczość jako **pracę produkcyjną**

w sensie ekonomicznym, nie jako powołanie zarezerwowane dla wyjątkowych jednostek. Stołówki, żłobki, infrastruktura socjalna realnie odciążały część pracy reprodukcyjnej, co oznaczało, że kobiety miały więcej czasu i instytucjonalnego zakotwiczenia do własnej działalności. Badaczki takie jak Małgorzata Fidelis dokumentują, że aktywność zawodowa kobiet w tym okresie – w tym artystyczna – była realnie wyższa niż sugerowałoby to późniejsze narracje o „wyzwoleniu przez transformację”.



Zofia Kulik, *Przygody Alicji w pierdolonej krainie czarów*, 1977; archiwum KwieKulik

Transformacja zniszczyła tę infrastrukturę szybciej niż zmienił się podział obowiązków. Prywatyzacja opieki, komercjalizacja przestrzeni, likwidacja stołówek i domów kultury – uderzyły asymetrycznie w tych, którzy i tak nieśli więcej. Równocześnie konserwatywny backlash lat 90., obecny zarówno w Kościele, jak i w przekształcającym się mainstreamie politycznym, przepisał domowość kobiety jako jej naturę, nie ekonomiczną konieczność.

Kultura studencka w tym samym czasie przechodziła od modelu wytwarzania do modelu konsumpcji: dawne kluby traciły charakter miejsc produkcji na rzecz rozrywki, a uczestnictwo zaczęło być mierzone siłą nabywczą, nie zaangażowaniem.

Ponad trzydzieści lat po likwidacji infrastruktury, która te warunki tworzyła, produkujemy dalej – tyle że bez zaplecza. Z własnego doświadczenia mogę śmiało wskazać, jak drugorzędnie traktujemy dziś pracę archiwizacyjną i redaktorską. Nie do końca rozumiemy też znaczenie jej uznania.

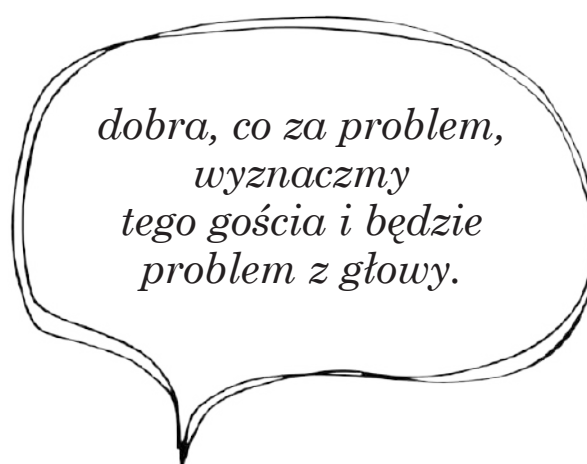
Dziwię się, gdy podstarzali weterani tak zwanej opozycji opowiadają dziś z dumą na panelach, że redagowali ulotki, a widownia złożona z pokolenia moich rodziców kiwa z zachwytem głowami. *Przecież to podstawa politycznej działalności, nigdy nie przestała nią być, myślę.* Ale nawet niewinna ulotka nie jest wolna od stałej zasady polskiej pamięci historycznej – im dawniej, tym szlachetniej i godniej. Wszystko, co bliskie, jest wandalizmem, natarczywością albo szukaniem dziury w całym. Analogiczną zasadę obowiązuje modna obecnie

„troska” o pamięć o roli kobiet w ruchach oporu i **„autentyczny”** zachwyt nad ich umiejętnościami organizacji pracy politycznej.

Gdy władze krajowe związku mają obiekcje do oficjalnej rejestracji mnie jako

*redaktora
naczelnego,*

od kolegów z organizacji słyszę:



Nie jestem w stanie zrozumieć, jak takie rozwiązanie sytuacji miałyby zakończyć problem – najpewniej dlatego, że sam problem rozumiem inaczej. Ruchom politycznym nie jest straszny rozwlekły proces rejestracji prasy. Nie można tego samego powiedzieć o klasycznym chowaniu kobiety do szafy dla akceptowalnego odbioru społecznego – to jest namacalnym zagrożeniem.

Tempo, w jakim jesteśmy w stanie dojść do wniosku, że pragmatycznym posunięciem jest podpisanie mężczyzny pod dziesiątkami godzin pracy, których nie wykonał – łzawiącymi oczami, nocami przed komputerem, zapełnianiem braków i robieniem tego, co w każdym numerze robi się po prostu samo – jest szybkie. Nie zaskakująco szybkie, po prostu szybkie.

Produkcja, za którą odpowiadamy, przynosi mi satysfakcję; uznaję ją za

polityczny obowiązek,

a samą pozycję za pewne zobowiązanie wobec struktur, którym poświęciłam **lata**. Kobiety są kompetentne do takich zadań i **głęboko wierzę w niesłuszność podpisywania nas męskimi nazwiskami, których nie nosimy.**



Rzeczywistość nie pozostawia wątpliwości:

za gazetę odpowiada jedna,

za stale ulepszający się skład odpowiada druga.



Żadna z nas nie nosi męskiego imienia –

Gabriela nie jest Gabrielem, a Julia nie jest Julianem.

Archiwum Kulik istnieje, dokumentacja istnieje, jubileuszowy numer gazety wychodzi – a to niemałe osiągnięcie, by oddolna gazeta tego rodzaju nie zniknęła nieopisana w otchłani internetu po jednym czy dwóch plikach PDF. Nazwiska to osobne negocjacje, które nie mają wiele wspólnego z tym, kto realnie pracował. Produkcja ma swoją historię i warunki materialne, które trzeba najpierw nazwać, żeby móc je zmienić.

O dzieciach alimenciarzy i walce o przetrwanie na uczelni

Zofia Mańkowska

Na łamach *Alarmu* wielokrotnie podejmowaliśmy temat ograniczeń wynikających z sytuacji materialnej studentek i studentów. Jednym z najrzadziej opisywanych problemów socjalnych studiujących jest życie z alimentów — albo raczej próba przeżycia dzięki nim. Mowa o *dzieciach alimenciarzy*, czyli tych, którzy pobierają świadczenia alimentacyjne od jednego bądź dwójki rodziców. Choć litera prawa wydaje się jasna, **polska rzeczywistość egzekucji wyroków alimentacyjnych wciąż pozostawia wiele do życzenia.**

PRAWO SWOJE, ŻYCIE SWOJE

W powszechnej świadomości, również wśród samych zainteresowanych, funkcjonuje błędne założenie, że rodzic zobowiązany jest płacić alimenty do czasu ukończenia przez dziecko **26. roku życia**. W polskim prawie nie istnieje jednak jednoznaczna granica wieku. Zgodnie z art. 133 Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego:

rodzice obowiązani są do świadczeń alimentacyjnych względem dziecka, które nie jest jeszcze w stanie utrzymać się samodzielnie.

W praktyce oznacza to, że obowiązek ten trwa tak długo, jak długo dziecko wykazuje chęć do nauki i rzetelnie ją kontynuuje. Dla studentek, z którymi rozmawiałam,

ten przepis staje się jedyną przepustką do względnej stabilności.

Warto podkreślić: dla takich osób studia nie są cynicznym sposobem na „wyciąganie kasy” czy ucieczką. Same podejmują pracę i uczestniczą — **na tyle, na ile mogą** — w życiu społeczności studenckiej. Posiadają także ambicje, które zderzają się z brutalnym brakiem zaplecza finansowego. Wybór ścieżki akademickiej jest **nerozzerwalnie** związany z kalkulacją dotyczącą coraz **większej** części z nas.

ALIMENTY JAKO FUNDAMENT (LUB JEGO BRAK)

Marta, studentka I roku studiów magisterskich Dziennikarstwa i medioznawstwa na Uniwersytecie Warszawskim, jest przykładem osoby, dla której **system alimentacyjny stał się przezroczysty z powodu swojej niewydolności**. Od zawsze dostawała 300 złotych alimentów, jednak w 2026 roku kwota ta — jak podkreśla — „to w dzisiejszym świecie nic” i wystarcza co najwyżej na małą część zakupów spożywczych. Marta w wieku 17 lat musiała wyprowadzić się z domu dla własnego zdrowia psychicznego. **Dziś** pracuje na pełen etat, zarabiając 5 200 złotych netto, z czego tysiąc złotych pochłania pożyczka na studia, a 1350 złotych wynajem



pokoju. Wybór studiów zaocznych był jej jedyną opcją.

„Żeby się utrzymać, muszę pracować na pełen etat, dlatego codzienne studiowanie nie wchodziło w grę”

— wyjaśnia.

Mimo to **nie chce** rezygnować z nauki. Działa w zarządzie studenckiego koła naukowego, które zapewnia jej **namiaszkę tego niegdyś obiecanego studenckiego życia.**

Jakiś czas temu ojciec przestał przysyłać tę kwotę, a Marta odczuwa niepokój na myśl o jej egzekwowaniu:

„Mam w sobie dwa wilki: **z jednej strony** uważam, że mi się należy, bo nigdy się mną nie zajmował, **a z drugiej** — głupio byłoby mi zabierać mu pieniądze, których wiem, że nie ma dużo”.



STYPENDIA, PRACA I SYSTEMOWE PUŁAPKI

Podobny schemat destabilizacji widać u studiującej zaocznie na prywatnej uczelni **Ani**. Czesne opłaca z pieniędzy zaoszczędzonych przy okazji pracy w handlu oraz ze stałej wypłaty. W domu zawsze słyszała, że „nie ma na coś pieniędzy”. Dla niej status studenta to przede wszystkim zniżki w komunikacji i sklepach. „Próbowałam ubiegać się o stypendium w zeszłym semestrze. Po długim oczekiwaniu otrzymałam informację, że go nie uzyskałam”. **Stypendium socjalne na uczelniach wyższych pozostaje legendą, bo nikt nie wie jak je otrzymać i nieosiągalnym celem, bo progi wymagają skrajnego ubóstwa, równocześnie wykluczając podejmowanie jakiejkolwiek pracy zarobkowej.** Alimenty otrzymywane przez Anię są zasądzone. Ojciec, mimo skrupulatnych wyliczeń ko-

sztów życia przedstawionych przez matkę, nie poczuwał się do dobrowolnych opłat.

Zupełnie inną strategię przyjął **Mateusz**. Jako jedyny z moich rozmówców studiuje dziennie, co pozwala mu skupić się na nauce, ale dzieje się to kosztem niemal całkowitego braku kontaktu z ojcem.

„Studiuję dla utrzymania alimentów, statusu studenta oraz chęci kontynuowania nauki”.

Dopiero po podjęciu kroków prawnych wraz z siostrą udało mu się podwyższyć kwotę do 2 000 złotych (na dwójkę dzieci). Większość tych środków przelewa mamie na opłaty za mieszkanie. **W tym przypadku alimenty nie są „kieszonkowym”, ale fundamentem, na którym stoi całe gospodarstwo domowe.** Bez statusu studenta Mateusz straciłby nie tylko prawo do nauki,

ale i jedyne stabilne źródło dochodu swojej rodziny.

Alimenty alimentom nierówne. Według widełek tablicy alimentacyjnej rodzic z przychodami **15 000-25 000 złotych miesięcznie** w 2026 roku będzie łożył na dziecko średnio 4 000 zł. Kwota ta jest niewiele mniejsza najniższemu krajowemu dochodowi (**4860 złotych netto**). Z drugiej strony są dzieci rodziców zarabiających do **5000 złotych netto**, gdzie według tabel alimentacyjnych kwoty powinny oscylować między 800 a 1 500 zł, a w rzeczywistości często zatrzymują się na wspomnianych wyżej trzystu złotych.

Studia dla dzieci alimentarzy to nie tylko czas nauki, ale przede wszystkim skomplikowana logistyka przetrwania. Dopóki prawo i uczelnie nie dostrzegą tej specyficznej luki, dyplom pozostanie dla wielu symbolem nadludzkiego wysiłku i rezygnacji z młodości na rzecz etatu.

Lata 80. w kulturze studenckiej – socjalizm w rytmie rynku

Adam Ochwat

Lata 80. w Polsce były dekadą nadzwyczaj płodną pod kątem młodzieżowej kontrkultury. To czasy festiwalu w Jarocinie czy warszawskiego Róbrege, czasy Kultu, Tiltu, Siekiery i Dezertera, czasy Pomarańczowej Alternatywy i Ruchu „Wolność i Pokój”. Punk, początki hip-hopu, reggae, ruchy anarchistyczne i ekologiczne (o wiele ciekawsze, niż rozpamiętywany przez prawicowych historyków NZS) to tylko niektóre wątki ówczesnej sceny. Za dużą część tego kulturowego bogactwa odpowiadały **uczelnie** – ze swoim rozwinięciem, pomimo

załamania gospodarczego, zapleczem. W 1988 r. w Polsce funkcjonowało **130 klubów studenckich**, jeśli wierzyć informatorowi Ogólnopolskiej Rady Klubów Studenckich. Jednak pod koniec lat 80. znalazły się one w tarapatach, które umożliwiły Wolnej Polsce ich skuteczne rozbitcie poprzez odcięcie środków i dziką prywatyzację.

KONTRKULTURA W CIENIU INSTYTUCJI

Aby zrozumieć lata 80. z perspektywy klubów studenckich należy cofnąć się do roku 1981. Przed stanem wojennym, kluby studenckie były zarządzane przez uczelniane lub okrę-

gowe rady Socjalistycznego Związku Studentów Polskich (SZSP). Była to **ogromna, biurokratyczna organizacja** z wielkim budżetem, która miała za zadanie między innymi propagować **dorobek kreatywnych studentów** i studentek ku chwale socjalizmu, oferując **młodej inteligencji** polityczno-kulturalny „wentyl bezpieczeństwa” i względną swobodę twórczą.



Oprócz tego SZSP był też quasi-samorządem, reprezentując interesy studentów przed władzami, organizując m.in. wyjazdy integracyjne, oraz stanowił kuźnię kadr dla PZPR¹. Był to model odziedziczony *de facto* jeszcze z lat 50., gdy propagowanie oficjalnej ideologii wśród młodych było dla władz priorytetem. Początek lat 80. to jednak zupełne załamanie polityczne oraz ekonomiczne. Stan wojenny przyniósł zawieszenie wszystkich organizacji studenckich oraz zupełną likwidację aktywnego wówczas NZS. Władze jednocześnie przygotowywały się do wprowadzenia pakietu reform gospodarczych, które miały na celu uzdrowienie niedomagającej gospodarki. Opierały się one na wprowadzeniu dosyć daleko idących reform rynkowych – propagandowe hasła „samofinansowania, samorządności i samodzielności” przedsiębiorstw pojawiały się od 1982 r. w prasie bardzo często. Tak więc i ruch studencki, choć stanowił on oczywiście marginalną część gospodarki, przemodelowano.



Każde pomieszczenie wykorzystywane jest na zajęcia i próby

Zajęcia zespołu tańca artystycznego

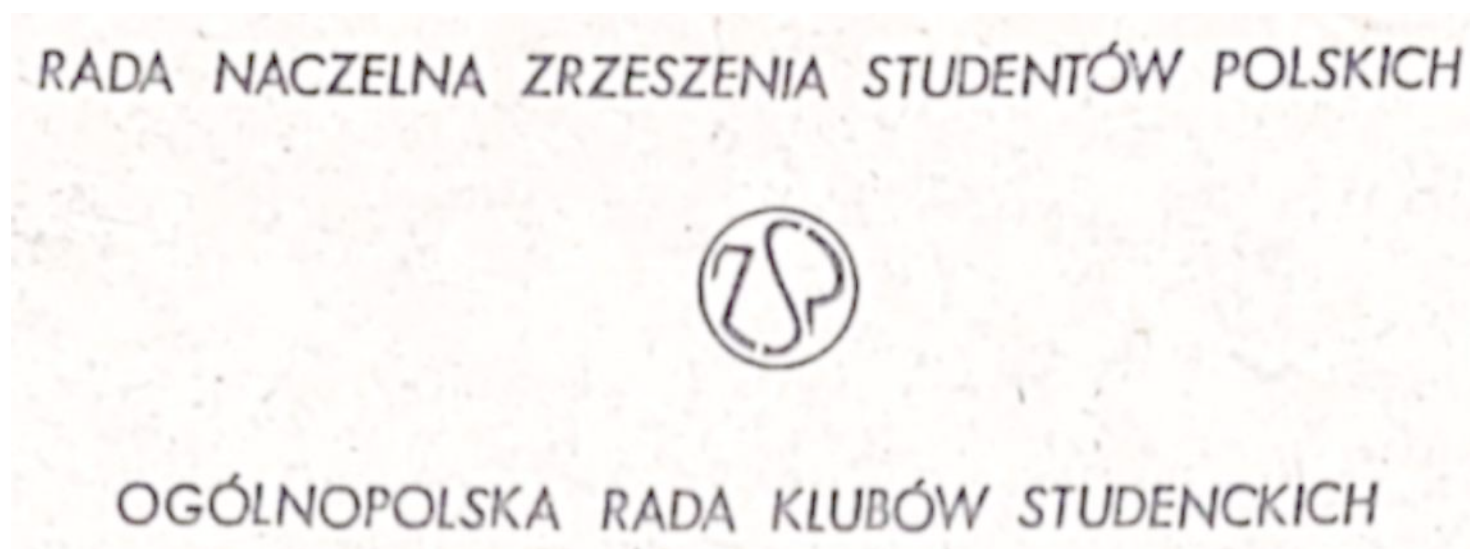
SAMOFINANSOWANIE I LOGIKA RYNKU SIEBIE

Kluby studenckie były od początku swojego istnienia wydatkiem, czy też inwestycją, a nie przedsięwzięciem zyskowym. Wraz z (nieco wypartą ze pamięci zbiorowej) falą liberalizacji po stanie wojennym, początkami otwierania na Zachód i „drugą odwilż”, co opisał m.in. Jakub Banasiak, kuratela władz nad politycznym przekazem oficjalnego ruchu studenckiego zdecydowanie się połuźniła. Działacze studenccy z tego okresu to raczej proto-yuppies, niż polityczni aktywiści. Pod koniec 1982 r. w miejsce SZSP powołano Zrzeszenie Studentów Polskich (ZSP), istniejące wcześniej w latach 1950–1973². Miało ono inny charakter niż dotychczasowy „moloch” zarządzany przez przysłowiowych aparatczyków, blisko związanych z PZPR. Organizacja miała otrzymać o wiele większy zakres autonomii w działaniu, lecz w zamian miała dążyć do zarabiania na swoją działalność. W tym celu powołano Akademickie Biuro Kultury i Sztuki „Alma-art”

Niedawno odbył się w Warszawie
V sejmik Aktywu Klubów Studenckich, na którym stwierdzono,
że kultura studencka jest od kilku już lat w widocznym impasie.
Wskazywano na brak integracji wewnątrzśrodowiskowej,
brak koncepcji działania, nieznajomość własnych możliwości,
obcość i inercję. [...] W klubach mamy przerost kadry menedżerskiej
nad programową. [...] Uczelnie nie są w stanie całkowicie finansować
działalności klubów, dlatego też kluby muszą na siebie zarabiać.
Organizują więc dyskoteki i koncerty popularnych zespołów.
Na razie nie było lepszego wyjścia...
– „Trybuna Ludu” (14.05.1983)

¹ Uprzedzając argument o fasadowym charakterze oficjalnych organizacji studenckich w PRL-u pragnę zauważyć, że ich fasadowość trwa do dziś, w jedynie kosmetycznie zmienionej formie.

² Obok ZSP powołano wówczas Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej (ZSMP), które miało przejąć funkcję kuźni kadr i młodzieżówki PZPR. Oficjalny ruch studencki odzyskał więc autonomię.



KIEDY KLUBY STAJĄ SIĘ PRZEDSIĘBIORSTWAMI

Pieniądzy nie ma i nie będzie! Jednak rozpadający się w latach 80. socjalizm nie zostawił kultury studenckiej na pastwę losu, tak jak później zrobili to liberalni politycy III RP. Zorganizowany model samofinansowania miał w teorii rację bytu – Zrzeszenie zarządzało dużą, publiczną bazą lokalową. Część klubów mieściła się na terenach uczelni, np. w akademikach, reszta „na mieście”. Uczelnie zapewniały także zwykłe etaty dla działaczy klubowych, kierowników programowych, księgowych, itd. Kluby miały, przynajmniej w założeniu, strukturę samorządną – kierownika wybierała rada klubu złożona z członków, czyli osób zaangażowanych w poszczególne sekcje artystyczne. Ingerencja ze strony „centrali”, czyli ZSP i „Alma-artu” w codziennym funkcjonowaniu była rzekomo niewielka, a możliwości działania – szerokie. Główne ograniczenia stanowiły problemy z funduszami na działanie oraz niewielkie zainteresowanie studentów, które tłumaczono coraz większą presją na podejmowanie pracy oraz niechęcią do „oficznego” ZSP, przezywanego „zsypem”. Z badań ankietowych opracowanych przez Jana Garlickiego i dokumentów organizacyjnych wynika, że w szczytowym momencie tej dekady do organizacji należało **ok. 15% studentów**, ale uczestnictwo w imprezach klubowych organizowanych przez ZSP deklarowało **aż 25%** (*Kultura polityczna młodzieży studenckiej*, PWN 1991). Kluby były jednak coraz mniej studenckie – dominowała w nich młodzież licealna.

Socjalistyczny
Związek
Studentów
Polskich

Ogólnopolska
Rada
Klubów
Studenckich

4

SEJMIK
AKTYWU
KLUBÓW
STUDENCKICH



**Ze względu na presję „samofinansowania”,
w programach dominowały masowe
koncerty gwiazd oraz dyskoteki.
Działalność twórcza zdecydowanie
podupadała.**

JERZY PŁOŃSKI

„HYBRYDY” W POMIESZCZENIU ZASTĘPCZYM

Można 26.11.84

„Hybrydy” to klub studentów Uniwersytetu Warszawskiego. Powstał w lutym roku 1957. Na swą siedzibę otrzymał zabytkowy pałacyk Kraszewskiego na ulicy Mokotowskiej w Warszawie. Najpierw rozpoczął działalność Hot Klub Hybrydy. Jego członkami byli muzycy i sympatycy jazzu. Działała tu jedyna w Warszawie Scena Pantomimy. Młodych poetów skupiała Orientacja Poetycka Hybrydy.

W latach 1973–1977 nastąpiła przerwa w działalności klubu. Pałacyk wymagał gruntownego remontu. W roku 1977 władze miasta przekazały klubowi lokal po dawnej restauracji „Maxim” w podziemiach budynku mieszkalnego przy ulicy Kniewskiego. Hybrydy znalazły się w pomieszczeniu, które nie nadaje się do działalności

klubowej. Składa się na nie sala restauracyjna z małą scenką i parkietem oraz zaplecze gastronomiczne, jak na przykład kuchnia, różne małe magazyny i tzw. lodówki. W lokalu zaprojektowanym na 150 osób podczas imprez klubowych musi się zmieścić 400. Mimo to działalność nie ogranicza się do przysłowiowej dyskoteeki. Reaktywowano Hot Klub, który zrzesza 6 grup muzycznych, m.in. Grupa Rockowa „Apogeum”. Zespół Muzyki Reggae „Issiael”, „Duet 66”.

Dyskusyjny Klub Filmowy tuła się po różnych wynajmowanych salach na mieście, ostatnio w Staromiejskim Domu Nauczyciela. Mimo trudności lokalowych jest jednym z najlepszych klubów w kraju. Organizuje seminaria filmowe, jak „Wenera Herzoga – eseje

o człowieku”, „Nowe Kino Hiszpańskie”. W marcu br. odbędzie się seminarium pn. „Na ruinach antyku – panorama filmu greckiego”.

Studencki Ośrodek Dyskusyjny prowadzi cykl spotkań publicystycznych pn. „Sprawy Polaków”. Odbły się m.in. spotkania z ministrem Zdzisławem Krasieńskim, dyrektorem Janem Pawłem Gawlikiem. Planowane jest w najbliższym czasie spotkanie pn. „Partia a młodzież”.

Galeria Fotografii Hybrydy prezentuje co miesiąc nowe wystawy młodych autorów z kraju i zagranicy.

Studio Piosenki Hybrydy skupia młodych autorów i wykonawców z kręgu piosenki studenckiej. Tradycyjnie organizowany jest Ogólnopolski Przegląd Piosenki Autorskiej oraz Studenckie Warsztaty Piosenkarskie. Ostatnio powstał spektakl poetycko-muzyczny w oparciu o poezję niedawno zmarłego Edwarda Stachury. W lutym odbędzie się premiera spektaklu poetycko-muzycznego „Pieśni Pokolenia” w wykonaniu jego autorów Sławomira Zygmunta i Mateusza Stryjewskiego.

Klub Kandydata Uniwersytetu Warszawskiego, czyli Wolna Wszechnica Wiedzy organizuje spotkania z uczniami klas maturalnych mające na celu pomoc w wyborze kierunku studiów.

Sekcja Księgarska organizuje kiermasze nowości wydawniczych dla studentów. Powstał niedawno Klub Tańca Towarzyskiego. Działa też jedyna w Warszawie studencka grupa literacka. Fotoamatorów zrzesza grupa fotograficzna „Seksja”.

Stale imprezy klubowe to: Raport o stanie kabaretu z udziałem znanych wykonawców, w lutym, Warszawskie prezentacje Poezji Spiewanej – marzec. Dni Krzysztofa Komedy – kwiecień. Spotkania im. Johna Coltrane’a – październik. Festiwal Muzyki Reggae „Robregae” – październik. „Dni Millesa Davisa – listopad. Giełda płyt co wtorek. Zabawy taneczne w piątki, soboty i niedziele.

Oto zaplanowane ciekawsze imprezy: 27 lutego przegląd kabaretów szkół średnich, 1–2 marca „Noc po ciężkim dniu” – impreza poświęcona Beatlesom. „Günther Grass w Hybrydach”, przewiduje się osobisty udział pisarza, projekcje filmów, prelekcje oraz sprzedaż wydawnictw, w tym wydanych przez Hybrydy.

Starania o nowy lokal nadający się do pracy klubowej nie przyniosły dotąd rezultatu. Zły stan techniczny oraz szczupłość pomieszczeń nie pozwalają klubowi dobrze służyć studentom największej uczelni w kraju i młodym mieszkańcom Warszawy.

Koncert muzyki reggae



Stan obiektu jest opłakany



ZDJĘCIA: JERZY PŁOŃSKI

Jeśli nic się nie zmieni w polityce kulturalnej, to za 2–3 lata nikt nie usłyszy na żywo dobrej poezji czy jazzu. Pozostaną obok radia, telewizji, wideo, pewnie tylko wielkie festiwale, czyli to, co się opłaca organizatorom. Już dzisiaj tylko nieliczne placówki kulturalne stać na realizowanie ambitniejszych form artystycznych. Wszyscy chcą tylko zarabiać, i dyrektor domu kultury, i kierownik klubu studenckiego, artysta i manager. I tak dyrektor domu kultury robi tylko imprezy dla dzieci, bo tylko to się opłaca, kierownik klubu studenckiego tylko dyskotekę, bo to się opłaca, artysta bierze udział tylko w imprezie masowej i na miejscu, bo się opłaca (no i przy okazji benzynę zaoszczędzi), a manager organizuje tylko imprezy komercyjne, bo też musi za coś żyć.

– „Walka Młodych” (1.09.1985)

Brzmi znajomo?

Nowy wspaniały świat Fuentesesa

Tomasz Kowalczyk

Stany Zjednoczone eksportują dziś nie tylko filmy, muzykę czy fast foody. Eksportuje także własne wojny kulturowe, polityczne obsesje i internetowe patologie. Trudno się temu dziwić. Kiedy przez dekady centrum światowej kultury znajduje się w jednym kraju, reszta świata zaczyna żyć nie tylko jego rozrywką, ale również jego problemami. Niekiedy więcej wiemy o amerykańskiej rzeczywistości niż o kulturze swojego kraju czy regionu. Kto nigdy nie oglądał Star Wars-ów czy nie skusił się na hot doga?

Poprzez swoją pozycję na świecie oraz dominację kulturą ludzie spoza USA interesują się też kulturą polityczną Stanów. Przez wiele dekad był to głównie spór pomiędzy czerwonymi i niebieskimi. Jednak wraz z nasileniem się skutków neoliberalnej terapii szokowej zaczęły pojawiać się idee odmienne od głównego nurtu Republikanów i Demokratów. Jednym z produktów współczesnej Ameryki jest Meksykanin Nicholas Fuentes.

Fuentes jest najbardziej znanym członkiem prawicowej „międzykolorówki”, w której skład wchodzi osoby internetu takie jak Andrew Tate czy Sneako. Określa siebie jako *incela* oraz wyznawcę pierwszeństwa interesu Stanów nad innymi. Głosi że USA upada, Żydzi kontrolują świat oraz że trzeba bronić białej rasy przed ludobójstwem. W skrócie: nie prezentuje on niczego, czego wcześniej nie widzieliśmy. Takie idee potrafiły padać nawet z ust członków obydwu partii wodzowskich USA – z tą różnicą, że zazwyczaj ludzi je głoszący byli odsuwani na bok.

Fenomen Fuentesesa polega na zastosowaniu przez niego postironii oraz doraźnej dawki sarkazmu w celu promocji własnej polityki. Przedstawia stare myśli w „zmodernizowany” sposób. Od 2017 prowadzi swoje show *America First with Nicholas J. Fuentes*. Format nie różni się zbyt od wielu popularnych dziś streamerów takich jak Hasan Piker czy Asmongold. Właśnie tutaj Fuentes karmi swoich fanów kontrowersyjnymi tekstami mającymi na celu prowokować oraz dawać poczucie wyższości widzom. Słowa *nigga*, *foid* czy *Jew* jako synonim obelgi padają niemal na każdym streamie. Większość wypływana jest przez Fuentesesa w formie żartu. Pełni to rolę zabezpieczenia, które pozwala przesuwac kolejne granice.

To był tylko żart!

W rzeczywistości fani streamera albo osoby zainteresowane zasadami tego półświatka wiedzą, że dla nich to wcale nie jest żart. *W końcu ktoś mówi na głos coś, co miałem w głowie od lat!*

Taki „troll Schrodingera” pozwala się bronić i nie zmieniać przekazu. Opanował tę metodę do perfekcji – takie fragmenty można następnie z danego filmu wyciąć i wstawić na inne platformy (np. Instagram lub X), gdzie staną się *viralem*. Często właśnie tam ma miejsce pierwszy kontakt z Fuentesem. Takie zjawisko nazywamy dziś *clip-farmingiem*. Metodą clip-farmowania uwielbianą przez Nicka jest emocjonalne, dramatyczne reagowanie na wizji na wiadomości fanów programu. Często obraża własnych zwolenników, a ci za to płacą. Sam twierdzi, że zawsze robi to celowo – niezależnie od tego, czy wiadomość



ma na celu go podpuścić, czy jest szczerą. **Dobry klip może dziś dotrzeć naprawdę daleko dzięki algorytmom. Fuentes idealnie wie, co robi i nie ma zamiaru przestać.**

O ile w Polsce nie ma (jeszcze) takiej osobistości jak Nick Fuentes, niektóre elementy jego retoryki – wraz z częścią poglądów – wpływają na polską scenę polityczną. Już teraz aktywni są politycy stosujący metody podobne w charakterze i spotykające się z oczekiwaną reakcją publiczną. Idealnym tego przykładem jest nikt inny jak Grzegorz Braun, który, gasząc sejmową menurę, doskonale wiedział, jakie będą tego konsekwencje. Oburzeniu niepozwalającemu na zakończenie sprawy towarzyszył zachwyt zwolenników. Dziś sondaże wskazują na wysokie prawdopodobieństwo, że partia Brauna (Konfederacja Korony Polskiej) będzie czwartą siłą w parlamencie. Polityka KKP rezonuje ze znaczną częścią społeczeństwa,

a kontrowersyjne akcje i wypowiedzi ich lidera skutecznie poszerzają elektorat, a przede wszystkim rozgłos. **Zauważmy, że za postironicznymi w naturze happeningami stoją słowa, które takie nie są.** To znacząca różnica między nim a Fuentesem.

W internetowej przestrzeni można dostrzec pewien cień goryczy oraz plastikowej sztuczności, które napędzane są ironią i szyderstwem. **Monopoliści napędzają treści, które generują oburzenie – bo nic tak dobrze się nie sprzedaje.** A osoby pokroju Fuentesa tańczą w rytm ich muzyki. Dla kapitalistów stojących za platformami nic nie jest święte. Każda opinia, każdy człowiek i każdy fakt mogą być celem, o ile się to opłaca. Bez względu na wpływ na resztę społeczeństwa. Influencerzy sprzedają samych siebie w zamian za parę lat sławy. **Wielkie media szastają dolarami, byle tylko spektakl trwał.**

Co z tego, że ludzie umierają? W Palestynie i tak nie ma ludobójstwa. Albo i jest – jeśli mi się to w danym klimacie politycznym opłaca.

Problem z naszymi czasami nie leży w tym, że ludzie są dla siebie potworami. Problemem jest, że

opłaca się być potworem.

Fuentes prowadzi swój program dostosowując go do młodych ludzi, zwłaszcza mężczyzn. Sam wyszedł daleko poza tę sferę. Parę lat temu stołował się w Mar-a-Lago z wtedy wygnanym z Białego Domu Trumpem oraz Kanye Westem. Jego poglądy stają się coraz popularniejsze, a styl ich wyrażania jest kopiowany przez odbiorców programu. Sami możemy coraz częściej usłyszeć na ulicy czy w mediach stanowiska, które mają na celu nas podpuścić. Trollowanie stało się powszechnym zjawiskiem i coraz intensywniej ingeruje w nasze życia.

Skutek?

Stajemy się coraz bardziej cyniczni i negatywni.

Nie jest to, rzecz jasna, wina pojedynczego Fuentes, jednak trudno odmówić mu wkładu. Jeżeli nie chcemy, aby nasze konwersacje były pełne pustych słów i pozbawione jakichkolwiek autentycznych poglądów, musimy odważyć się mówić szczerze, w co wierzymy. Głośno i stanowczo głosić nasze poglądy – nie w sposób ironiczny i dzięki temu bezpieczny, ale prawdziwy.

Jak nie promować kultury fizycznej: sport na uczelniach



Filip Bijak, Stanisław Sieniawski



Potencjał szkół wyższych jako przestrzeni promocji zdrowego trybu życia jest oczywisty – zarówno poprzez rekreacyjny, jak i półprofesjonalny sport. Uczelnie to wielkie zakłady pracy o dużych zasobach lokalowych, organizujące plan dnia tysiącom młodych ludzi. Dziś ten potencjał próbuje się realizować przede wszystkim **za pomocą** obowiązkowych zajęć wychowania fizycznego. Mają one już długą historię – zostały wprowadzone

na uczelnie w latach 50., gdy były one do tego zadania początkowo zupełnie nieprzygotowane. I choć dzisiaj od strony organizacyjnej z pewnością jest lepiej, **obowiązkowy WF nie jest receptą.**

Dla wielu z nas jest to jedynie formalny wymóg ukończenia studiów. Zapisujesz się na zajęcia, które pasują ci do planu, zjawiasz się przez cały semestr, byle dostać wpis na listę obecności. I tyle. Chyba, że zapomnisz o dokładnej godzinie rejestracji na WF – wtedy nie wybrzydzasz i bierzesz ping-ponga o 21.00 po drugiej stronie

miasta albo dodatkowo płatny brydż sportowy. W wielu przypadkach doświadczenie obowiązkowych zajęć wychowania fizycznego nie zachęca do uprawiania sportu.

Poza godzinami zajęć sale sportowe, siłownie i boiska stoją puste. Wstęp dla studentów i studentek jest (zwykle) wzbroniony. Nawet jeśli taką przestrzeń można zarezerwować, wiąże się to ze zbędną biurokracją, a często również z opłatą. Tzw. wolny rynek dostrzega tu niezaspokojoną potrzebę i wkracza do gry – co drugą tablicę ogłoszeń

na wydziałach zdobią reklamy różnych sieci klubów fitness oferujących specjalną taryfę dla studiujących, którzy chcą uprawiać sport.

TYLE MIEJSCA, ŻE AŻ GO BRAKUJE

Dwie największe krakowskie uczelnie mogą się pochwalić niemałym zasobem obiektów sportowych. W dyspozycji Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Górniczo-Hutniczej są hale sportowe, boiska do piłki nożnej i plażowej, korty ziemne i do squasha, siłownie, sauny, ścianki wspinaczkowe, łaźnie czy baseny. Kto jednak może z nich korzystać?

W teorii – wszyscy. W praktyce zarezerwowane są dla dedykowanych grup zajęciowych, sekcji sportowych albo dla tych, których stać na ich najem komercyjny. Ile kosztuje wynajęcie salki? **Za 90 minut** użytkowania sportowej hali B, na AGH, zapłacimy **1050 złotych**. Na UJ za to wynajęcie połowy boiska piłkarskiego na **90 minut** kosztuje **400 złotych**. Co ciekawe, kort do squasha jest jedną z tańszych opcji – korzystanie z niego **przez godzinę** wyniesie nas **50 złotych**. Trudno się dziwić, że mało kto z tych przestrzeni korzysta.

Sam koszt jest tylko jedną z barier, które sprawiają, że z ogromnych obiektów sportowych korzystają tylko nieliczni. Jego obniżenie nie sprawi, że rzesze studiujących wyjdą na boiska grać w siatkówkę.

PRODUKCJA WSPÓLNOTY POPRAZ AKTYWNOŚĆ FIZYCZNĄ

Uprawiających sport studentów i studentek nie wydaje się być wielu. Trudno też znaleźć na studiach osoby z doświadczeniem gry w drużynach sportowych w swoich nastoletnich latach. Podzielę się swoją perspektywą na wspólnototwórczość sportu.

W koszykówkę grałem od podstawówki. Wyjeżdżając z Podkarpacia na studia zakładałem, że w mieście takim jak Kraków okazji będzie do tego tylko więcej. Kwestie tego *gdzie* oraz *z kim* zdawały się być formalnością. Przejrzałem więc ofertę uniwersytetu, dzięki której dowiedziałem się, że posiada sekcję koszykarską. Okazało się, że treningi odbywają się między 19 a 23 – zależnie od płci. Moje zajęcia na pierwszym roku zaczynały się o godzinie 8.00. Potrzeba snu zwyciężyła tym sposobem nad hobby. **Nie traciłem determinacji i szukałem dalej.**

Najłatwiejszą alternatywą okazały się boiska szkolne i orliki. Tam jednak rzadko trafisz na ludzi w wieku studenckim. Dominują tam uczniowie szkół ponadpodstawowych lub zajątkowicze, którzy pamiętają oglądanie na żywo meczów Michaela Jordana w koszulce Chicago Bulls. Partnerzy do gry? Tak, ale trudniej o stałe przyjaźnie.

Z czasów gry w koszykówkę pamiętam, że to właśnie luźniejsze formy gry sprawiały, że zintegrowałem się z kolegami z drużyny. Mogliśmy puścić muzykę, którą chcieliśmy, zagrać w HORSE'a, 66 czy 3 na 3 i równocześnie rozmawiać bez martwienia się, czy przy następnym ćwiczeniu zabraknie nam sił jak na treningu.

Nie potrzebowaliśmy saun, czy zespołu profesjonalistów, żeby się zintegrować. Do tego wystarczy piłka i ogólnodostępne boisko, a znajomości i ludzie znajdą się same.



AZS, STYPENDIA, WIDOWISKO

Władze uczelni i ministerstw łączy zamiłowanie do widowiskowego „sportu akademickiego” – prezesem Akademickiego Związku Sportowego jest nie kto inny, jak rektor Uniwersytetu Warszawskiego, Alojzy Nowak! Zazdrość wywołują w nich akademickie ligi futbolu amerykańskiego i koszykówki, czy zawody wioślarskie pomiędzy Oxfordem i Cambridge. W pogoni za Zachodem sport na uczelni widzą tylko w tej spektakularnej formie. Uczelnie uruchamiają dodatkowe stypendia dla sportowców, które mają za zadanie przyciągnąć tych z największym potencjałem, aby wybrali tę konkretną placówkę, swoimi kolejnymi sukcesami zwracając „inwestycję” w walucie prestiżu. Abstrahując od skuteczności takich zachęt, proces ten odbywa się kosztem pozostałych studiujących i sportu bardziej rekreacyjnego. Zamiast inspiracji brytyjskim wyścigiem wioślarskim proponujemy rektorom i ministrom inspirację francuskim systemem wsparcia socjalnego, gdzie stypendium socjalne otrzymuje jedna czwarta wszystkich studiujących. Odbiorcy takiego stypendium nie przynoszą tyle „prestiżu” uczelni, ale to przecież nie o prestiż, a o zapewnienie dostępu do edukacji chodzi w publicznym systemie szkolnictwa wyższego.

Sekcje AZS są z reguły dostępne dla osób, które już mają pewne doświadczenie z danym sportem. Nic nie dowodzi tego lepiej niż sekcje narciarstwa czy żeglarstwa. Są to sporty, których uprawianie wymaga ogromnych nakładów finansowych, dlatego do sekcji rekrutują się przede wszystkim osoby z bogatych rodzin. Następnie zdobywając wysokie miejsca w Akademickich Mistrzostwach Polski (AMP), nabijają punkty do stypendium rektora i dostają „wsparcie finansowe” od uczelni choć pewnie po-

radziliby sobie świetnie bez niego. Utrzymanie systemu sportu na uczelniach wymaga szeregu wydatków. Budowa obiektów sportowych i ich utrzymanie, zakup sprzętu i zatrudnienie pracowników. Ale widoczna, medialna jest w zasadzie tylko ta pierwsza. Dobrze sprzedać można wypłatę stypendiów najlepszym sportowcom (mogą zapozować do zdjęcia z rektorem) albo programy wsparcia profesjonalnego sportu studenckiego, np. przygotowanie do Uniwersjady. To nie jest też tak, że pieniędzy na sport uczelniany w ogóle nie ma. **W klimacie straszenia wojną można łatwo znaleźć pieniądze na każdy odpowiednio militarny projekt. W 2025 roku prawie jedna czwarta budżetu Zarządu Głównego AZS – 14 milionów złotych – stanowiły wydatki na program upowszechniania strzelectwa.** Żeby efekty tych wydatków nie były skoncentrowane na wąskiej grupie

uprzywilejowanych, władze nie mogą traktować sportu na uczelni jako maszyny do produkcji prestiżu.

ZAINWESTOWAĆ W SPOTY, CZYLI W ZDROWIE



Coraz szersze grono słusznie bije na alarm w kwestii zdrowia psychicznego studiujących. Sytuacja naszego pokolenia w tej kwestii jest paląca. Aby ten problem malał, musimy mieć możliwość zaspokojenia naszych podstawowych potrzeb. Tak jak pewny dach nad głową, zdrowe i regularne posiłki, przestrzeń do odpoczynku i integracji, tak miejsce i czas do ćwiczeń fizycznych, czy rekreacyjnego uprawiania sportu są niezmiernie potrzebne dla zdrowia fizycznego i psychicznego.

Zamiast zlecać kolejne badania, które próbują identyfikować przyczyny dropoutu, wygodnie pomijając kwestie materialne, rektorzy i ministrowie powinni zacząć od podstaw. I tak, w najwyższym priorytecie są

to miejsca w akademikach, stypendia socjalne i publiczne stołówki, ale – jak przekonujemy w tym numerze Alarmu – także miejsca kultury. Wreszcie są to właśnie przestrzenie kultury fizycznej. I nie, nie trzeba budować nowych stadionów i wielkich hal sportowych (choć na wielu uczelniach przestrzeni sportowych mogłoby zdecydowanie przybyć). Trzeba przede wszystkim zmiany podejścia do sportu na uczelni.

Kultura fizyczna na uczelni nie może być mieszanką obowiązkowego, byle-zaliczonych zajęć i „sportu akademickiego”, który ma przynosić prestiż dla władz i wypłaty stypendiów dla uczestników. Sport na uczelni musi być dostępny. Ma pełnić funkcję integracyjną oraz dawać możliwość aktywnego spędzenia czasu, wspomagając zdrowy tryb życia.

Zamiast gonić prestiż – otwórzcie sale, siłownie i boiska dla studiujących.

Monokultura internetu, czyli dlaczego nie możemy mieć dobrych rzeczy

Mikołaj Jędrzejewski

W internecie często słychać utyskiwania, szczególnie członków naszego pokolenia, na temat **stanu obecnej kultury popularlarlarnej.** Padają coraz bardziej wyświechtane określenia:

slop, brainrot, doomscrolling czy *enshittification*.

A może warto spojrzeć szerzej na to, dlaczego właściwie jesteśmy rozczarowani tym, co konsumujemy?

FORMA PRZED WSZYSTKIM

Obecne formy spędzania czasu są dostosowane do krótkich treści. Instagram i TikTok – media zorientowane na zwieszle i sensacyjne treści – paradoksalnie zajmują ogromną część naszej doby.

Wedle badania „Nastolatki 3.0” spędzamy w sieci średnio 5,5 godziny dziennie, a znaczna część naszego etnolektu opiera się na zapożyczeniach z kultury internetowej.



Najgłośniejsze

rzeczy dzieją się w mediach społecznościowych liderzy opinii funkcjonują przede wszystkim właśnie tam. To viralowe informacje i utwory rozrywkowe dominują w dyskusjach. Social media to nowa prasa, choć ta nie odeszła do lamusa.



Narzekania na spadający poziom czytelnictwa słuszenie traktujemy jako liberalne lamenty za epoką elitarnego intelektualizmu, ale jednocześnie nie możemy pozostawać ślepi na to, że **komunikacja w naszym pokoleniu została zredukowana do krótkiej formy. Zostaliśmy przyzwyczajeni do tego, że wszystko musi być kolorowe, szybkie, łatwo przetwarzalne i jednolite.** W naszym pokoleniu nie piszemy artykułów opinii, tylko nagrywamy rolki. Oczywiście, to nie jest źródło problemu, ale adaptacja do absurdalnych warunków, w które nas wrzucono. **Technogiganci to ostateczni cenzorzy: to właśnie ich platformy dyktują nam tematy do rozmowy.**

PLATFORMIZACJA: DZIEL I RZĄDŹ

Jak pańszczyźniani chłopci uprawiamy poletka technofeudów na ich platformach społecznościowych. **Chcesz nagrywać muzykę?** Bez Spotify się nie obędzie. **Chcesz pisać?** W zależności od swoich potrzeb skończysz na Wattpadzie, Substacku bądź Archive of Our Own. **Wideo?** Witaj na YouTube. **Wiadomości ze świata polityki?** Zaprzyjaźnij się z Twitterem lub Instagramem. Cokolwiek chcemy robić, kapitał już zdążył skolonizować ten obszar życia i stworzyć do tego platformę. **Problem platform polega na tym, że nie jesteśmy właścicielami tego, co publikujemy — wszystko, co tworzymy, zostaje zamknięte w ich ekosystemie.** Ewentualne wynagrodzenie spływa na bardzo wąski procent najpopularniejszych twórców, reszta z nas musi zadowolić się lechtaniem ego cyferkami oddającymi mityczny engagement. **Efekty?** Każdy z nas, żeby móc istnieć i przebijać się ze swoją twórczością, musi dostosować się do zasad platform bez możliwości ich negocjacji. To, co stworzymy, może w dowolnym momencie zostać usunięte

przez arbitralny osąd naszych technofeudów. Nic zatem dziwnego, że **jesteśmy zalewani ogromną powodzią jednolitej papki, którą wszystkie zajadamy z lubością.** Nie mamy innej możliwości.

KORPOPRODUKCJA DLA WSZYSTKICH

A co z mediami tradycyjnymi? Gdzie podziały się filmy, gry i piosenki, które mogliśmy uznać za znaczące dla danego pokolenia? Kapitał nie oszczędził tradycyjnych mediów. Pogoń za niekończącymi się zyskami odczuwalnie uderzył w pracowników przemysłu rozrywkowego. Chciwość producentów i korporacyjnych garniturów likwidowała kolejne zabezpieczenia umożliwiające kreatywne tworzenie ciekawych projektów. Prekaryzacja, crunch, obniżanie pensji, zwolnienia po zamykaniu projektów i narzucanie coraz wyższych wymagań finansowych mogły skończyć się tylko jednym:

neoliberalnym uniformizmem.

Filmy, gry czy albumy są obliczone na bycie jak najmniej ofensywnymi. Nawiązują do nostalgii za innymi czasami, ponieważ muszą się sprzedać. **Wszystko jest remake’iem, rebootem czy kontynuacją rzeczy z lat 80.** Ten pseudoeskapizm i zatopienie w przeszłości to nic innego jak próba ukrycia tego, że korporacje odarły sztukę z możliwości realnej ekspresji na rzecz zysków. Nie oznacza to, że sztuki już nie ma, ale że w **skali makro mamy do czynienia z pustymi produktami.**

ZA CO MASZ TWORZYĆ?

Z czym więc zostajemy? Jeśli chcemy tworzyć, spycha się nas do Internetu i próbuje przekonać,

że **powinniśmy być wdzięczni,** jeśli jakiś bogacz zdecyduje się rzuścić ochłapy za naszą pracę. Granie w zespole oznacza mniej czasu na pracę zarobkową, więc musimy się liczyć

z tym, że nie będziemy mieli jak się z tego utrzymać. Cokolwiek chcemy wydać, musimy liczyć się z tym, że wydawnicze kartele będą wyciskać z naszej sztuki ostatnie grosze. **Walkę z tyranią**

komercjalizacji i kapitału musimy zacząć od przełamania narracji, że tworzenie jest niczym

więcej niż marnowaniem czasu. Potrzebujemy przestrzeni, fizycznych przestrzeni, do gromadzenia się i wymieniania **własną twórczością.** **Własna prasa, własne kluby, wspólny sprzęt, strony internetowe,** gdzie będziemy pu-

blikować nawzajem swoje treści. **Wymaga to również czegoś innego, czego nam brakuje: ducha współpracy.**

Jeśli wierzymy, że nasi koledzy i koleżanki to nasi rywale na „rynku sztuki”, to już przegrywamy walkę z kapitałem i skazaliśmy siebie na marginalizację jako niewolnicy korporacji.

Taka współpraca wymaga innej perspektywy niż obsesja liczb, obserwujących i własnego ego oraz otwarcia na innych.

Oznacza to też ciągły wysiłek nad utrzymaniem relacji, ale nie ma innej drogi.

Nie ma alternatywy — bez walki nie

liczymy na lepsze życie.



Większość osób nie wie, co robi samorząd.

Rozmowa ze studentem Uniwersytetu Warszawskiego



Kuba Mleczko: Pierwsze pytanie będzie rozgrzewkowe – chciałbym, żebyś powiedział, co Ci się kojarzy z określeniem: kultura komunikacji na uczelni.

Kostek Biernacki: Mi się kojarzy z pewną strukturą przekazywania informacji i tworzenia kultury wymiany informacji. Informowanie o tym, że są zespoły studenckie, które gdzieś tam grają, że są wystawy, na które można przyjść...

K.M.: Skupmy się na konkretnie samorządzie studenckim – jak oceniasz sposób, w jaki samorząd wydziałowy i samorząd centralny komunikują się ze studentami i studentkami?

K.B.: Jeśli chodzi o samorząd wydziałowy – to zależy od wydziału. Są wydziały, gdzie samorzady są naprawdę strasznie do dupy. Na niektórych wydziałach ludzie nawet nie wiedzą, że taki samorząd istnieje.

Słyszałem wiele takich historii o, przykładowo, osobach z WPiA, które nie wiedzą nic o samorządzie Wydziału Prawa. Jeśli chodzi o samorząd mojego wydziału [Wydziału Socjologii – przyp. red.], w porównaniu z innymi samorządami komunikacja jest lepsza, ale również nie jest świetna. Mielśmy w tym temacie nawet całą aferę parę miesięcy temu – to była skomplikowana historia. Ostatecznie prawda jest taka, że na moim wydziale komunikacja jakkolwiek istnieje. Da się cokolwiek przekazać RSS-owi [Radzie Samorządu Studentów – przyp. red.] i cokolwiek z RSS-ów idzie do innych.

Dla mnie pożądaną poziom komunikacji to taki, na którym każdy z nas wie o istnieniu samorządu i każdy z nas ma gdzieś tam z tyłu głowy, że może się z nim skontaktować w różnych sprawach – bez jakiegoś wstydu czy zakłopotania. To byłaby taka, nazwijmy to, „utopijna” wizja komunikacji. Jesteśmy jednak od niej daleko.

K.M.: Opowiedziałeś o samorządach wydziałowych. A co z samorządem centralnym? Jak wygląda komunikacja z nimi?

K.B.: Jeśli chodzi o Zarząd Samorządu Studentów, to jest w ogóle do dupy. Większość osób nie wie, czym jest Parlament Studentów i nie wie, co to ZSS. Przede wszystkim nikt nie wie, co faktycznie robi samorząd centralny. Jedyne wydarzenie, o którym ludzie wiedzą, to Juwenalia. Poza tym żadne ważne rzeczy nie są ogłaszane.

Patrz, teraz „Indeks” [restauracja, która dzięki działaniom Inicjatywy zostanie przekształcona w klub studencki – przyp. red.] idzie z powrotem w ręce studentów. Większość ludzi o tym nie wie. Samorząd wrzucił stanowisko na Facebooka, ale prawie nikt tego nie zobaczył. Ludzie wiedzą to głównie dlatego, że czytają stronę struktur młodzieżowych Inicjatywy Pracowniczej – ale to też przecież jest mniejszość. Większość osób pewnie też nie wie, czym jest „Indeks”. Wielokrotnie tłumaczyłem kolegom, że to są te schodki w dół na prawo przy bramie głównej.

Ważne informacje nigdy nie idą ze strony Zarządu Samorządu Studentów. Studenci nie wiedzą, co się dzieje, a ZSS nie ma ochoty o czymkolwiek informować. Dla nich ważniejsze są Juwenalia albo jakieś gównowarte mini-eventy.

K.M.: Naprawdę, tylko eventy?

K.B.: Gdyby prześledzić Facebooka samorządu, to możemy zobaczyć, że tak naprawdę wysyłają ciągle informacje o tej jednej imprezie.

„Hej, będą Juwenalia!”;

„Hej, są Juwenalia!”;

„Hej, skończyły się Juwenalia!”.

Dodatkowo znajdziemy informacje o rzeczach typu: koncertik, rozdajemy kawkę, a tutaj się uczymy sex ed, czy coś w tym stylu.

Ale tematy takie jak prywatyzacja, bieżące walki, „hej, Indeks wraca w nasze ręce!” nie są poruszane. O otwarciu BUWBAR-u [o restauracji premium więcej w dziale Co słyszać w ruchu studenckim? – przyp. red.]

samorząd też nie informował. Może to akurat chcieli zamieść pod dywan? W każdym razie – kwestie socjalne, które są najważniejszymi sprawami, o których samorząd powinien informować, nigdy nie są przez nich poruszane. Zero. Nigdy. Nic.

K.M.: Jaki jest teraz główny kanał komunikacji najczęściej używany przez samorządy?

K.B.: Messenger i Facebook na 100%, widzę to wszędzie. Wszystkie RSS-y mają Facebooka, niektóre nawet wcale nie prowadzą Instagrama. Dużo informacji jest przekazywanych przez grupki na Messengerze. To nie jest dobry sposób komunikacji. On po prostu nie działa. Uważam, że Facebook jest straszny. Przecież prawie nikt z nas nie korzysta z Facebooka! Ludzie zaczynają korzystać teraz z Facebooka głównie dlatego, że to jedyne miejsce, gdzie mogą znaleźć informacje o jakichś wydarzeniach. Jeśli chodzi o Messengera – możesz wysłać wiadomość do wszystkich naraz. Nieważne, gdzie ktoś jest – jeśli odczyta messengerową konwersację, to otrzyma daną informację. Tylko problem z Messengerem jest taki, że masz tutaj milion wiadomości. I weź się teraz domyśl, która dotyczy Twojego wydziału. Wiele osób ma podobnie – ważne informacje gubią się w tym szumie. To jest ten problem. Wiadomo, że to jest lepiej niż nic. Ale to się miesza z całą resztą informacji dotyczącą znajomych, rodziny, świata, etc.

K.M.: Jak wyobrażałbyś sobie idealną komunikację na linii samorząd – studenci?

K.B.: Powiem tak – dla mnie wyznacznikiem, że faktycznie komunikacja wreszcie działa, byłaby sytuacja, w której samorząd opublikowałby wiadomość, a ja otrzymałbym ją z niedużym opóźnieniem. Fajnie byłoby też widzieć, że ludzie – na przykład



na papierosie – rozmawiają o tym, co napisał samorząd. Przepływ informacji musi być organiczny. Chciałbym, żeby osoby, których w ogóle nie znam, które nie działają w samorządzie wydziałowym, centralnym, ani nigdzie indziej, od razu wiedziały, co się dzieje.

K.M.: Czy nigdy nie zdarzyło ci się dostać ważnej informacji „z życia uczelni” w zwykłej rozmowie?

K.B.: Właśnie wczoraj miałem taką sytuację. Ludzie teraz dużo gadają o sytuacji z BUWBAR-em. Spędzam większość mojego dnia w bibliotece. Gdy wczoraj wyszedłem na papierosa, usłyszałem, że właśnie o tym rozmawiają studenci – a w sumie to narzekają. Ba, słyszałem nawet jak ochroniarze o tym gadali!

K.M.: Mówisz, że wszyscy ci ludzie dowiedzieli się o BUWBAR-ze od siebie nawzajem?

K.B.: I widzisz – to jest ciekawe. Zauważyłem, że nie wiedzieli o tym do momentu, w którym „Wyborcza” nie opublikowała pierwszego artykułu. To się zaczęło przez media roznosić. A ja chciałbym zobaczyć sytuację, w której studenci o bieżących sprawach wiedzą, zanim trafiają one do mediów. O takich kwestiach powinny informować też samorządy, szczególnie Parlament Studentów i Zarząd Samorządu, a nie tylko związkowcy z Inicjatywy Pracowniczej.

K.M.: Jak myślisz, co musi się wydarzyć, żeby ludzie dowiadawali się o takich sytuacjach jak BUWBAR przed artykułami ze stołecznej „Wyborczej”?

K.B.: Po pierwsze, samorząd centralny musi zdać sobie sprawę z problemu w komunikacji. Oni widzą, że ten problem istnieje, ale go nie rozumieją. Wielu samorządowców uważa, że studenci mają te wszystkie informacje w dupie. Nie żartuję. Rozmawiałem z wieloma samorządowcami – oni naprawdę mówią mi, że *nie da się zainteresować studentów takimi kwestiami*. Ale przecież człowiek dopiero może się zaangażować w jakąś sprawę, gdy o niej wie!



Dobrze byłoby bieżące informacje komentować. Na przykład, powiedzieć, co wypowiedzenie umowy z najemcą „Indeksu” oznacza dla studentów i studentek UW. Drugą kwestią byłoby utworzenie stref informacji studenckich. Widziałbym też sens dobrze spopularyzowanej, ogólnostudenckiej gazety. To plan maksimum, ale można też robić małe kroki. Na moim wydziale zainicjowałem powstanie tablicy korkowej przeznaczonej na informacje od RSS-u, kół naukowych i zwykłych studiujących chcących coś przekazać. Mam nadzieję, że będzie to miejsce, do którego możesz podejść i zdobyć wszystkie ważne informacje.

To nie musi być tylko tablica korkowa – to byłby absurd. Dlaczego nie stworzyć porządnego forum dotyczącego uniwersytetu? Takie miejsce w internecie, gdzie wchodzisz i znajdujesz bez problemu informacje posortowane na tematy czy działy. Teraz musisz grzebać po różnych kontach wydziałów i samorządów, żeby wreszcie znaleźć coś, co cię interesuje.

K.M.: To zdecydowanie monumentalna wizja, ale mogąca przynieść pozytywne zmiany. Zbliżamy się do końca naszej rozmowy, czy chciałbyś jeszcze coś dodać?

K.B.: W tym wszystkim jest ostatnia, najtrudniejsza ze wszystkich rzecz. To, co jest potrzebne do tworzenia sprawnej komunikacji, to zaangażowanie ludzi od dołu. Wiesz – tworzenie gazet, newsletterów, albo nawet fizycznych przestrzeni studenckich. Taki pomysł nie ma szans powodzenia bez moderacji ze strony zaangażowanych studentów i studentek.

Trudno jest znaleźć takich ludzi, ale to możliwe. Jest to w chuj trudne, ale da się to osiągnąć. Jak znajdzie się ludzi, którzy chcą się realnie angażować i którzy następnie zaczną tworzyć takie strefy, będziemy mieć wszystko, co potrzebne.

Elastyczność stosowana.

Jak działa czas pracy i nieobecności na śmieciówce

Dominik Chrabski, zespół prawny struktur młodzieżowych Inicjatywy Pracowniczej

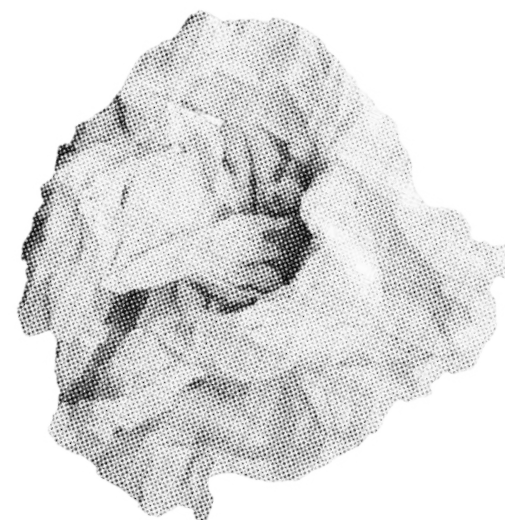


Dlaczego czas pracy na śmieciówce jest elastyczny?

Przepisy prawa pracy definiują **stosunek pracy** wymieniając jego cechy: **praca wykonywana jest osobiście, za wynagrodzeniem, pod kierownictwem pracodawcy oraz w wyznaczonym przez niego miejscu i czasie**. Każde zatrudnienie spełniające te kryteria podlega przepisom kodeksu pracy – niezależnie od nazwy umowy. Nie dzieje się to jednak automatycznie. Obecnie **jedynym sposobem na przekształcenie śmieciówki w etat wbrew woli szefa jest wyrok sądu**. Pracownik musi złożyć pozew, przejść przez trwające nawet kilka lat postępowanie i udowodnić, że jego zatrudnienie spełnia ustawowe przesłanki. Profesjonalna reprezentacja kosztuje, a wygrać można zazwyczaj stosunkowo niewiele – chyba że w toku zatrudnienia doszło do nadużyć, za które przysługiwałoby odszkodowanie na podstawie prawa pracy. Nie dziwi zatem, że sprawy o sądowe ustalenie stosunku pracy są niezwykle rzadkie, biorąc pod uwagę skalę śmieciowego zatrudnienia.

Od 8 lipca 2026 r. Inspekcja Pracy uzyska uprawnienie przekształcania śmieciówek w etaty bez wyroku sądu.

Nie wiemy jednak, jak w praktyce będą działać te przepisy i czy inspektorzy dysponujący ograniczonymi zasobami będą chętnie korzystać z nowych kompetencji.



Dlatego umowy pisane są tak, żeby nasze zatrudnienie nie miało cech stosunku pracy. Zamiast pracy pod kierownictwem pracodawcy przeczytamy o świadczeniu usług w sposób uzgodniony ze zlecającym. Żeby zatrudnienie nie było ściśle osobiste, wprowadza się możliwość powierzenia obowiązków innej osobie. Miejsce i czas pracy nie mogą być jednostronnie wyznaczane przez szefa, więc są z nami uzgadniane. Samo sprytne napisanie umowy nie jest wystarczającym dupochronem na wypadek kontroli PIP czy pozwu. Legalność śmieciówki bada się przeprowadzając test **cech przeważających** – sąd sprawdza, czy dany stosunek zatrudnienia ma więcej cech stosunku cywilnoprawnego, czy pracowniczego. Bada się przy tym nie tylko treść umowy, ale to, jak zatrudnienie faktycznie przebiegało. Jeżeli szef chce mieć naprawdę czyste ręce, postanowienia umowne nie mogą być tylko podkładką, ale muszą rzeczywiście przekładać się na organizację pracy.

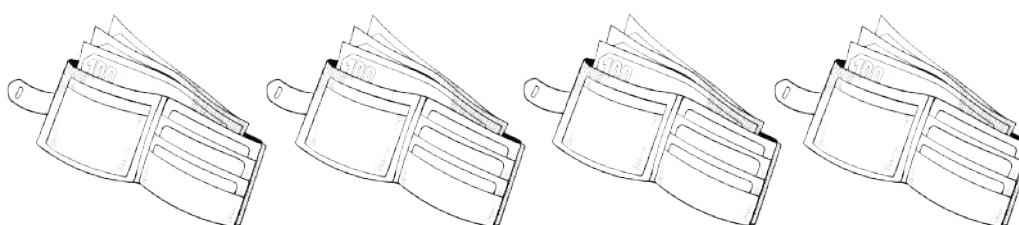
Jednak **już teraz** szefowie mają **motywację**, by utrzymywać pozory i pewien poziom finezji w obchodzeniu prawa. Mniej subtelni, **ryzykują mandatem karnym**, czy koniecznością



ROZLICZENIA SIĘ

z zaległych składek na ubezpieczenia społeczne – co przy zatrudnianiu

kilku pracowników może poważnie uderzyć po kieszeniach.



KTO I JAK DECYDUJE, KIEDY PRACUJEMY?

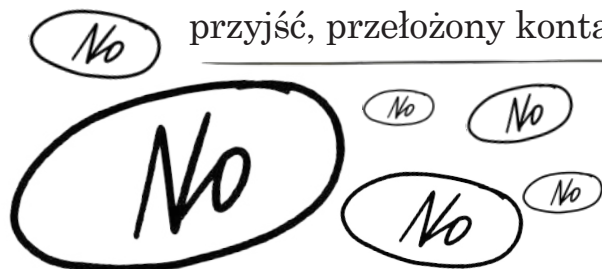
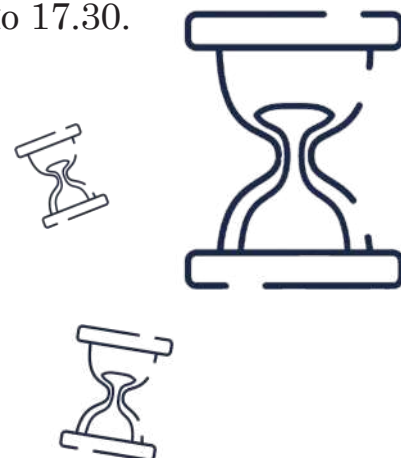


Wymuszona prawem elastyczność czasu pracy w praktyce niemal zawsze działa na korzyść menedżerów. W niektórych firmach, zwłaszcza korporacjach, stałych godzin po prostu nie ma. Pracownicy dostają zadania do wykonania i sami ewidencjonują godziny, w których je realizowali. Szef nie każe ci przyjść o konkretnej porze, ale biuro otwiera się o 8.30, większość pracowników przychodzi o 9.00 i kończy koło 17.30.

Godziny nie są narzucone odgórnie

ALE

jeśli chcemy nadażyć z pracą za resztą zespołu, **sami je sobie narzucamy**. Najczęściej jednak pracownicy deklarują dyspozycyjność na dany tydzień lub miesiąc – na tej podstawie przełożony układa grafik. Gdy w planie pojawiają się „dziury”, bo np. ktoś niespodziewanie nie może przyjść, przełożony kontaktuje się z pracownikami, by znaleźć zastępstwo.

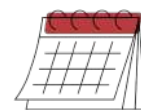


ODMÓWIĆ MOŻNA – ALE JAK?

Pracując na umowie cywilnoprawnej, **nie mamy obowiązku** pozostawiania do dyspozycji szefa w wyznaczonych przez niego godzinach, w przeciwieństwie do etatu. Jako zleceniobiorca mamy więc zasadniczo **swobodę organizacji swojego czasu pracy**, pod warunkiem, że **starannie wykonujemy zlecenie**. Jeżeli grafik nam nie pasuje, powinniśmy jasno i asertywnie przekazać, kiedy jesteśmy dostępni, a kiedy nie. Jeśli już decydujemy się nie przyjść – zdecydowanie lepiej uprzedzić z wyprzedzeniem niż poinformować po fakcie albo nie odezwać się wcale. Komunikatywność pozwala to odeprzeć zarzut, że nie dołożyliśmy należytej staranności w wykonywaniu zlecenia. Dokumentujemy wszystko i zbieramy dowody – jak przebiegała komunikacja i dlaczego nie mogliśmy się pojawić.

Musimy pamiętać przy tym, że każda śmieciówka jest wyjątkowa. Zanim podejmiemy decyzję, warto **dokładnie przeczytać umowę**. Najczęściej sposób ustalania grafiku celowo nie jest w niej określony – wtedy możemy skutecznie argumentować, że mamy swobodę wyboru czasu wykonywania zlecenia. Zdarzają się jednak klauzule ściśle regulujące tę kwestię, a nawet przewidujące kary umowne za niestawienie się na zmianie. W takich przypadkach lepiej nie ryzykować. Czasem obowiązek bycia w konkretnym miejscu i konkretnym czasie wynika ze specyfiki naszych obowiązków. Jeżeli podpisaliśmy umowę, w której zobowiązujemy się do pracy przy konkretnym wydarzeniu, musimy się na nim pojawić.

Brak prawnej możliwości wymuszenia pracy w określonych godzinach nie oznacza, że pracowników nie motywuje się innymi sposobami. Zazwyczaj wystarczy sama perspektywa podpadnięcia szefowi i możliwość wyrobienia kilku dodatkowych godzin. Kiedy jednak chętnych brakuje, a zmiana zbliża się nieobstawiona, metody bywają mniej subtelne – **szantaże emocjonalne, obietnice lepszych zarobków, groźby, że nie dostaniemy więcej godzin** albo że w ogóle



stracimy pracę.

Czasem po prostu orientujemy się, że jesteśmy wpisani na godziny, których nie zgłaszaliśmy jako dostępne.

W razie choroby warto uzyskać od lekarza zwolnienie w systemie e-ZLA lub w formie wydruku nawet jeśli umowa tego nie wymaga albo nie mamy ubezpieczenia chorobowego. Gdyby szef chciał egzekwować karę umowną lub odszkodowanie, mamy dowód, że nie wykonaliśmy zlecenia z powodu obiektywnej przeszkody. Przy zleceniu nie istnieje ustawowy obowiązek usprawiedliwiania nieobecności – zwolnienie lekarskie pełni dla zleceniodawcy wyłącznie rolę informacyjną. Niezależnie od tego, czy jesteśmy objęci ubezpieczeniem, nie otrzymamy od zleceniodawcy wynagrodzenia za czas, kiedy nie pracujemy. Jeżeli odprowadzamy dobrowolną składkę na ubezpieczenie chorobowe, możemy ubiegać się o zasiłek z ZUS – zasady jego przyznawania to jednak osobny temat.

Nawet jeśli kary wpisane w umowie są niezgodne z przepisami, ma to wtórne znaczenie wobec pytania, czy szef faktycznie zdecyduje się je egzekwować. Bardziej realistycznym zagrożeniem są pozaprawne konsekwencje odmowy – gorszy grafik, mniej godzin, atmosfera w pracy. **Zanim zdecydujesz się postawić na swoim, zorientuj się, jak wygląda praktyka w twoim miejscu pracy: czy zdarzają się zamiany zmian, jak reaguje szef w podobnych sytuacjach, co mówią inni pracownicy. W nowym miejscu albo na stanowisku bez kontaktu z innymi może to być trudne – dlatego warto zapytać wprost.** Rozmowa o warunkach pracy to nie tylko fundament zbiorowego działania. To też najskuteczniejsza strategia indywidualnego przetrwania. Nawet powierzchowne relacje ze współpracownikami czy samo wymienienie się z nimi kontaktami sprawiają, że nie jesteś sam, kiedy musisz znaleźć zastępstwo na zmianę, czy walczyć o swoją pensję w sądzie.

Redakcja: Przemysław Mitka, Zofia Mańkowska, Jakub Mleczo, Stanisław Sieniawski, Maya Śliwa

Redaktorka naczelną: Gabriela Wilczyńska

Skład: Julia Różańska

Grafika i zdjęcia: Marek Kita, Zuzanna Lewandowska, Marta Pupiec, Gabriela Wilczyńska

Okładka: Zofia Nocna

Dane kontaktowe: mlodzi.ip@ozzip.pl @kmip.[nazwa miasta] mlodzi.ozzip.pl

Prowadzimy też stronę internetową mlodzi.ozzip.pl, na której dostępne są zdigitalizowane wszystkie dotychczasowe numery. Publikujemy tam też twórczość, która nie trafia na papier, dlatego teraz tym bardziej zachęcamy do dzielenia się Waszymi tekstami — **z chęcią publikujemy studenckie głosy niezależnie od trwania naboru do następnego numeru oraz dopasowania tematycznego.**

Napisz do nas: mlodzi.ip@ozzip.pl!

Bądź na bieżąco niezależnie od algorytmów.

Zapisz się do naszego **newslettera** i otrzymuj **comiesięczne** podsumowanie najważniejszych wydarzeń ze studenckiego ruchu związkowego wraz z publicystycznymi poleceniami.



Komisje młodzieżowe są częścią Ogólnopolskiego Związku Zawodowego „Inicjatywa Pracownicza”.
Walczą o dostępną edukację i godne warunki pracy.

mlodzi.ozzip.pl/dolacz

Inicjatywa Pracownicza stawia sobie za cel integrację różnych grup w jedną międzybranżową organizację – związek zawodowy walczący o prawa i interesy całej klasy pracującej. Taka perspektywa wymaga wzajemnej solidarności oraz szukania wspólnej platformy działania dla pracowników i pracownic z różnych branż, grup zawodowych, zakładów pracy i uczelni.

Studencka Inicjatywa Mieszkaniowa to grupa studentek i studentów zajmujących się problemami społecznymi społeczności akademickiej. Główne filary działalności inicjatywy to dostęp do akademików, publiczne stołówki, ogólnie pojęte ekonomiczne aspekty studiowania.

Pomóż nam wydawać Alarm! Pomóż nam wydawać Alarm! Pomóż nam wydawać Alarm! Pomóż nam wydawać Alarm!



ZRZUTĄ
NA GAZETĘ

Zeskanuj kod i wesprzyj niezależną prasę studencką!

Pomóż nam wydawać Alarm! Pomóż nam wydawać Alarm! Pomóż nam wydawać Alarm! Pomóż nam wydawać Alarm!



facebook.com/mieszkaniowa
[@sim.polska](https://twitter.com/sim.polska)

